NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 6 maja 1905 r. Nr. 19.

# Straszny wypadek z bronią.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!

## Od Administracyi.

**Z dniem 1-go kwietnia Redakcya i Administracya naszego pisma przeniesioną została na ul. Zacisze L. 7, 1 piętro.**

## Straszny wypadek z bronią.

(Do illustracyi tytułowej).

Nieostrożne obchodzenie się z bronią niejednokrotnie już było powodem nieszczęśliwego wypadku. Nie ma poprostu miesiąca, w którymby dzienniki nie doniosły o zastrzeleniu się przez nieostrożność, jak zwykle się mówi „przez przypadek“. Co najsmutniejsze, to fakt, że ofiarą nieostrożności padają zwykle dzieci, albo ludzie młodzi, w pełni wieku i sił, ludzie, którzyby mogli w przyszłości stać się nader użytecznymi członkami społeczeństwa. Tem bardziej więc potępić należy rodziców i wychowawców, którzy. nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, albo przez karygodne niedbalstwo wkładają dzieciom broń do ręki i w ten sposób, mimowolnie może, ale są faktycznemi przyczynami nieszczęść, przypisywanych zwykle „przypadkowi“.

W ubiegły piątek rozeszła się po Krakowie wieść, że popołudniu zastrzelił się jakiś student. Wieść ta, przerzucana z ust do ust, przybrała wieczorem rozmiary olbrzymie, dopóki dzienniki, które podały krótkie notatki o zaszłym wypadku, nie rozwiały przypuszczeń i przesadnych okropności. Niemniej fakt ten wstrząsnął wszystkich i groza jego bynajmniej się nie zmniejszyła.

Przy ulicy Dominikańskiej pod liczbą 4 mieszkał u pani B. na stancyi uczeń VI klasy gimnazyum św. Jacka Rudolf Trzebicki, syn zmarłego profesora uniwersytetu Jagiellońskiego. Przychodził do niego bardzo często kolega, Stanisław Skwarczyński, syn znanego w Krakowie majstra krawieckiego przy ul. Szpitalnej, na koleżeńską pogawędkę. Przyszedł też i w piątek, około godziny 2 po południu. Zaczęła się pogadanka, ot, zwykła pogadanka gimnazyalistów o sprawach szkolnych. Wśród rozmowy Trzebicki wyszedł na chwilę z pokoju, pozostawiając na biurku nabity rewolwer. Nad biurkiem wisiał pistolet flobertowy. Skwarczyński zdjął go, oglądał i bawił się. Kiedy Trzebicki wrócił, widział, że kolega zajęty flobertem, ale mu nie przeszkadzał. Schylił się, aby wydostać pieniądze z dolnej szuflady biurka, gdyż zamierzał wyjść do miasta po zakupno. Widocznie wtedy Skwarczyński wziął do ręki rewolwer, leżący na biurku, w przekonaniu, że nie jest nabity, bo leżał tam zwykle bez ostrych naboi. Naraz głośny huk strzału rozdarł powietrze. Trzebicki odwrócił



**Straszny wypadek z bronią:** Zmarły wskutek nieostrożnego obchodzenia się z bronią Stanisław Skwarczyński, uczeń V kl. gimnazyum św. Jacka.

się i zobaczył Skarczyńskiego padającego na ziemię z rewolwerem w ręku, wołającego: „Rudek! Rudek!“. Wszelkie środki ratunku okazały się bezskuteczne. Kula przeszyła Skwarczyńskiemu serce i przecięła pasmo młodego życia. Przybyły na miejsce lekarz miejski dr Schaitter skonstatował śmierć.

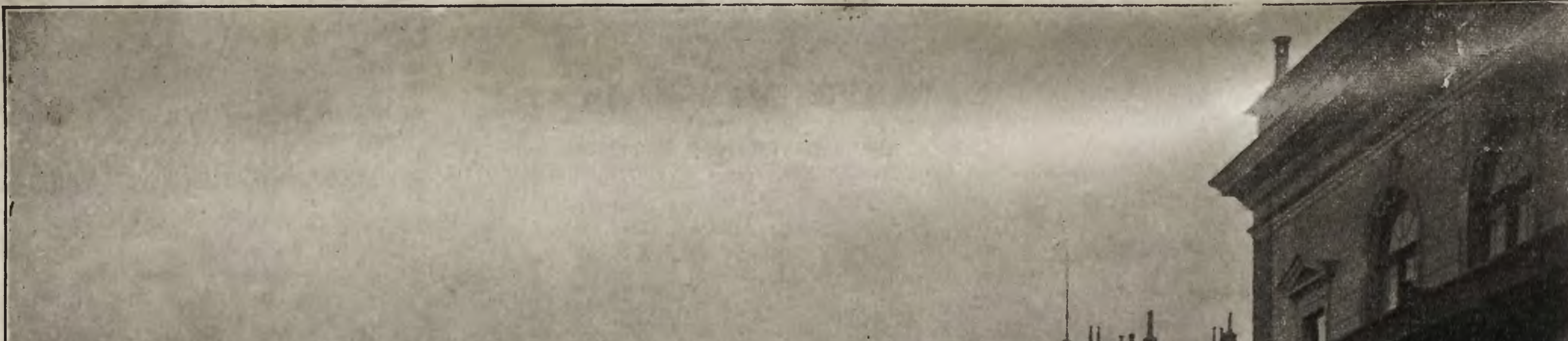
Z przeprowadzonego zaraz po wypadku śledztwa wynika, że zaszedł tu straszny nieszczęśliwy wypadek. Zamiar samobójstwa należy stanowczo wykluczyć; Skwarczyński, pełen sił, w kwiecie wieku, cieszący się sympatyą zarówno u kolegów jak i profesorów, bardzo dobry uczeń, nie miał najmniejszego powodu do odbierania sobie życia. Nie wiedział, że rewolwer nabity i wziąwszy go, przez nieostrożność jedynie spowodował strzał, który go pozbawił życia i stał się przyczyną ciężkiego smutku rodziców i rodziny. Trzebicki zeznał, że rewolwer nabił we czwartek dlatego, że w domu w ostatnich czasach spełniono kradzieże. Nie widział, jak go Skwarczyński wziął do ręki, nie mógł go więc przestrzedz.

Podajemy w dzisiejszym numerze rycinę, przedstawiającą tragiczny zgon młodego gimnazyalisty, oraz portret śp. Skwarczyńskiego. Bodajby fakt ten był dla wszystkich przestrogą, by broń nie dostawała się w ręce dzieci.

## Odjazd jenerała Galgotzego z Przemyśla.

Donosiliśmy już poprzednio, że jen. Antoni Galgotzy, dotychczasowy komendant korpusu przemyskiego, znany w całej Galicyi z bardzo częstych procesów, jakie prowadził z „cywilami“, opuszcza Przemyśl i udaje się do Wiednia. Następcą jego mianowany został, o czem również już donosiliśmy, jen. Horsetzky z Zadaru. W dzisiejszym numerze podajemy fotografię, zdjętą przez naszego przemyskiego korespondenta, na dworcu w chwili odjazdu jen. Galgotzego.

W sobotę dnia 29 kwietnia b. r. o godz. 5-ej min. 15 po poł., zgromadził się na dworcu cały korpus oficerski, z p. Cerri, obecnym zastępcą komendanta korpusu, na czele. Korpus oficerski żegnał jen. Galgotzego ze zrozumiałym dla każdego żalem, gdyż jen. Galgotzy, aczkolwiek surowy i przestrzegający ściśle dyscypliny wojskowej, oficerów otaczał zawsze największą opieką, przyznając im nawet wyjątkowe prawa w obcowaniu z ludnością cywilną. Na ilustracyi naszej widać jen. Galgotzego w otoczeniu oficerów na kilka minut przed odjazdem pociągu. Na przestrzeni od dworca przemyskiego aż do stacyi Żurawicy, stał garnizon, tworząc szpaler, który okrzykiem „Hoch Galgotzy“! żegnał przejeżdżający pociąg. O ile te okrzyki prostych żołnierzy były szczere, z serca płynące, nie wiemy; to tylko musimy wspomnieć, że w garnizonie przemyskim stosunki za rządów jen. Galgotzego nie były najlepsze, że co roku trafiało się



Fot. Michał Todt. Przemyśl.

**Odjazd jenerała Galgotzego z Przemyśla:** Jenerał Galgotzy w otoczeniu wyższych oficerów czeka na nadejście pociągu na dworcu przemyskim.

tam kilka samobójstw żołnierzy. Zdaje się więc, że i to serdeczne pożegnanie prostych żołnierzy było tylko wynikiem — dyscypliny wojskowej.

Ludność cywilna, z mnóstwa powodów, znanych Czytelnikom z dzienników, w pożegnaniu jen Galgotzego udziału nie wzięła.

## Tajemnicza śmierć nieznajomej.

Wiele tajemniczych zbrodni — pozostało i pozostaje niewyjaśnionych, pomimo najgorliwszych poszukiwań i pracy władz — jedynie zaś z tej przyczyny, że nie, ale to literalnie n i e nienaprowadza na jakikolwiek ślad lub wskazówkę w jakim kierunku dochodzenia rozwinąć należy. Jedyne wyjaśnienie mogłaby dać w danym wypadku ofiara zbrodni czy katastrofy — ale umarli nie mówią!

Tajemniczy taki, niewyjaśniony wypadek zdarzyć się musiał na granicy austryacko-rosyjskiej w lasku położonym na skraju wioski Ditkowce. Wieśniacy, przechodząc tędy nad ranem, znaleźli martwe ciało kobiety z śladami krwi na twarzy. Przypuszczając zbrodnię — zawiadomiono natychmiast żandarmeryę i władze sądowe. Dwu lekarzy zjechało, by ustalić przyczynę śmierci.

Kobieta ta bez najmniejszych wątpliwości padła ofiarą zbrodniczej ręki, nie było jednak innych śladów, ani znamion, zapomocą których możnaby coś wykryć.



**Ohydne morderstwo w Wiedniu:** Henryk Klein, skazany za współudział w zamordowaniu Sikory na 8 lat ciężkiego więzienia.

Biedną nieznajomą przeniesiono po autopsyi do kostnicy, atoli nikt we wsi ani okolicy nie umiał podać nazwiska, ani pochodzenia przybłędy. Nieznana poszła do grobu i chyba na drugim świecie zażali się Bogu — tu na ziemi ludzka sprawiedliwość nie da jej pomocy, tu na ziemi — umarli nie mówią!

Rycina nasza przedstawia wstrząsającą scenę sekcyi, dokonywanej na zwłokach przez lekarzy wobec komisyi sądowej.



**Tajemnicza śmierć nieznajomej:** Sekcya zwłok zamordowanej w obecności komisyi sądowej.

## Samobójstwo księdza z powodu straty córki.

W wielką sobotę rozeszła się po Lwowie wieść o samobójstwie grecko-katolickiego księdza, Grzegorza Jaremy. Wiadomość ta wywarła w całem mieście olbrzymie wrażenie, gdyż nikt nie mógł sobie wytłomaczyć przyczyn, które księdzu włożyły rewolwer do ręki, nikt nie mógł zrozumieć, jak i dlaczego kapłan targnął się na własne życie. Po przeczytaniu testamentu zmarłego wyjaśniły się przyczyny samobójstwa.

Ks. Grzegorz Jarema przebywał od kilkunastu lat w Brodach na stanowisku katechety gimnazyalnego. Był człowiekiem ogromnie zacnym i cieszył się ogólną sympatyą tak Polaków, jak i Rusinów. W życiu rodzinnem nadzwyczaj szczęśliwy, z dumą patrzał na dorastające swoje pokolenie, dwóch synów i córkę. Córka zwłaszcza, obdarzona olśniewającą pięknością, słynęła w mieście na całej pięknymi przymiotami umysłu i serca. Przed kilku laty jednak zachorowała nagle na zapalenie mózgu i mimo najusilniejszych starań lekarzy, nie powróciła do zdrowia. Śmierć przecięła pasmo jej życia w 18 wiośnie, zabierając stroskanemu ojcu spokój i niszcząc szczęście rodzinne, jakiem się cieszył dotychczas. Od czasu śmierci córki ks. Jarema popadł w melancholię. Usiłowania przyjaciół i kolegów, aby go wyrwać z objęć tej choroby, spełzły na niczem. Ks. Jarema myślał tylko o córce, którą ukochał całą mocą ojcowskiego serca, a którą mu Bóg zabrał w wiośnie jej życia. Chorobliwy stan nieszczęśliwego ojca zwiększał się z dnia na dzień. Rada szkolna, powiadomiona o nieszczęściu zacnego kapłana, przeniosła go przed rokiem do Lwowa, w nadziei, że pobyt w dużem mieście zdoła oderwać myśl nieszczęśliwego ojca od wspomnień córki i wpłynie uzdrawiająco na zbolałe serce. Nadzieje zawiodły. Żal i rozpacz ojca zwiększyły się jeszcze, aż wreszcie przyćmiły nieszczęśliwemu zmysły i wstrząsnęły równowagę umysłową. W wielką sobotę br. znaleziono go zrana w pomieszkaniu z roztrzaskaną głową. Rewolwer, leżący obok na ziemi, był wymownym tłómaczem tragedyi.

Stosownie do życzenia zmarłego, wyrażonego w testamencie, zwłoki jego przewieziono do Brodów i pochowano w grobowcu obok trumny ukochanej tak bardzo córki.

## Ohydne morderstwo w Wiedniu.

W październiku zeszłego roku olbrzymią senzacyę, nietylko w Wiedniu, ale i w całej Austryi, wywołało zamordowanie obywatela wiedeńskiego, Jana Sikory, którego trupa znaleziono poćwiartowanego w worku, w mieszkaniu niejakiego Kleina. Mordercy uciekli do Francyi. Czujności policyi udało się jednak chwycić ich w Paryżu. W ubiegłym tygodniu odbył się proces, który się skończył w sobotę po północy. Kleinową uznano winną zbrodni morderstwa, a trybunał skazał ją na śmierć przez powieszenie. Co do Kleina, zaprzeczono pytanie na mord, a potwierdzono współwinę mordu. Otrzymał on 8 lat więzienia — z uwzględnieniem nieposzlakowanego dotąd życia i jego słabej, ulegającej żonie woli. Oskarżeni przyjęli wyrok nadspodziewanie spokojnie. Kleinowa, która ma słuch przytępiony, nie słyszała wyroku, gdy go jej czytano. Protokolant napisał jej tedy wyrok na ćwiartce papieru. Przeczytała go uważnie i z uśmiechem kiwnęła głową na znak podziękowania. Klein, jakkolwiek śmiertelnie blady, nie okazał najmniejszego wzruszenia. Spokój ten wywarł na audytoryum olbrzymie zdumienie. Jak dzienniki donoszą, sąd postanowił przedstawić Franciszkę Klein łasce monarszej.

Podajemy obok fotografie obojga morderców.



**Ohydne morderstwo w Wiedniu:** Franciszka Klein skazana za zamordowanie Sikory na śmierć przez powieszenie.



**Samobójstwo księdza z powodu śmierci córki:** Przeniesienie zwłok ks. Jaremy z wagonu kolejowego na dworcu brodzkim.

# KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

31 (Ciąg dalszy).

— Nie przeczę.

— I do czego ciągła latanka doprowadzi?

— Nie wiem jeszcze do czego.

— Miałżebyś śmiałość wypowiedzieć wojnę synowi Piotra Molskiego... i tym sposobem całe sądownictwo na siebie obruszyć?! W jakim celu?... No, no! zastanów się i puść w trąbę głupią sprawę. Wszakże tylko podejrzywasz, a dowodów nie masz żadnych.

— Tak, nie mam żadnych.

— W takim razie, na co leziesz w błoto? Możesz być miejsca pozbawiony. Nagonią cię, jak psa, który węch stracił. Nie jesteśmy obaj młodzi i znamy się od dawna, więc mi cię żal. W razie wypędzenia nie znajdziesz nigdzie kawałka chleba, bo przecież rozumiesz, że nad nami nikt się nie ulituje.

— Mówisz rozsądnie... a jednak... — odparł Piperstein drżącym głosem — coś mnie do tej sprawy ciągnie. Wiem, żem bezsilny, że jak garnek gliniany rozbić się mogę o żelazne kociołki, jakimi są panowie sądownicy, lecz, powtarzam, coś mnie ciągnie do wykrycia prawdy.

— Waryat jesteś! Daj wszystkiemu za wygraną... a teraz idź spać, boś pewno dyabelnie zmęczony.

— Ba!... żebyś wiedział...

— Cóż znowu?

— Oto dziś w nocy przelazłem przez parkan i zakradłem się do ogrodu w willi pani Molskiej.

— Czyś oszalał?!... O, stary, stary! mogłeś kulką w łeb dostać.

— Niezawodnie!... To też innym razem czegoś podobnego nie zrobię.

— Ruszajże wypocząć!... albo, jeśli wolisz, wyciągnij się na tej kanapce i chrapnij.

— Dziękuję. Znam niedaleko stąd zajazd żydowski, pójdę do niego się przespać.

— Czy masz broń przy sobie?

Piperstein wyciągnął z jednej i drugiej kieszeni dwa sześciostrzałowe rewolwery małego kalibru.

— Mam czem plunąć w oczy panom nożownikom, gdyby który chciał mnie zaczepić. Bądź zdrów! Zobaczymy się wieczorem w policyi.

V.

Na dworcu kolei żelaznej w Lublinie oczekiwał wygalowany lokaj na znanego nam dobrze młodego malarza. Artysta, wysiadłszy z wagonu, stał na peronie, trzymając pod pachą składane i starannie owinięte czerwoną taśmą sztalugi, w ręku zaś spore pudełko z farbami. Rozglądał się wokoło. Przy nim położył posługacz kolejowy kosz i małą walizkę. Lokaj spostrzegł to wszystko i podbiegł.

— Czy to wielmożny pan ma jechać do Zahajec?

— Tak.

— W takim razie, proszę iść za mną, konie już czekają.

Na placyku za dworcem stał wykwintny faeton — zaprzągnięty w parę dzielnych, rasowych koni.

— Księżna pani sądziła, że wielmożny pan chętnie przyglądać się będzie widokom, więc dlatego, z jej rozkazu, przyjechaliśmy po niego odkrytym powozem.

Dzień był prześliczny. Na stokach malowniczych, nie wysokich, gliniastych pagórków lubelskich, falowały szerokie i długie łany kwitnącej pszenicy. Tu i ówdzie na widnokręgu czerniały ciemną zielonością dębowe i sosnowe lasy. W dolinach, nad rzeką, leniwie toczącą swoje mętne wody, bieliły się chaty zamożnych wiosek. Z wyniosłości, po których wiła się często, nie żwirowa, lecz dosyć szeroka i wcale dobrze utrzymana droga, widać było w rozległych kotlinach szmaragdowe, równe, prawie gładkie łąki, nabite gęstą, bujną trawą i kwieciem rozmaitem. Powietrze przepełniała aromatyczna woń zbóż, lucerny i koniczyny w pełnym rozwoju.

Piotruś nigdy nie widział wsi prawdziwej, znał bowiem tylko najbliższe, przeważnie płaskie i brzydkie okolice Warszawy, wszystko zatem, co go tu nagle otoczyło — urocze, nowe i nieznane — witał radosnym — prawdziwie artystycznym zachwytem.

Tymczasem konie biegły rącżo. W dwie godziny po wyjeździe z Lublina, lokaj, siedzący na koźle, zwrócił się do niego i powiedział:

— Jesteśmy na granicy Zahajec. Za kwadransik zobaczy już pan pałac... za górką na prawo.

I rzeczywiście w kwadrans potem faeton zjeżdżał powoli z góry po krętej drodze na ładny most murowany, rzucony nad strumieniem, a za mostem i za monumentalną bramą, w pośród starego, wspaniałego parku, przy okrągłym trawniku, rozścielającym się na znacznej przestrzeni, niby kobierzec olbrzymi, ujrzał wielki, ciekawej struktury budynek piętrowy, z czterema wysokimi filarami, wybiegającymi naprzód i tworzącymi wygodny, szeroki podjazd.

Gdy powóz pod nim się zatrzymał, Piotr wyskoczył lekko przed wielkiemi, mosiądzem okutemi drzwiami, na progu których stała księżna Sieńska, mile się do niego uśmiechając.

— Witam pana — rzekła, gdy malarz chwycił jej rękę i złożył na niej pełen szacunku pocałunek. — Musisz być zmęczony podróżą, a przytem bardzo głodny, bo na stacyi w Lublinie, zwłaszcza z rana, o wczesnej porze, nic prawdopodobnie do zjedzenia nie dostałeś...

— W istocie, nic nie jadłem...

— Więc Jakób zaprowadzi - pana naprzód do przeznaczonych dla niego pokoi i pomoże ci się rozgościć, poczem zaś sprowadzi na dół. Siądziemy razem do śniadania, które wszyscy i zawsze spożywamy po wiejsku, o wpół do jedynastej...

Lekkiem, ale bardzo uprzejmem skinieniem głowy pożegnała przybyłego, oddalając się do parku, Piotruś zaś, prowadzony przez służącego, wchodził po szerokich, kamiennych schodach na pierwsze piętro.

Apartamencik, który artysta miał zamieszkać, składał się z sypialnego pokoju i saloniku. W tym ostatnim, prócz oszklonej szafy, zapełnionej dziełami klasyków i wielkich polskich poetów romantycznych, leżały na stole wszystkie najnowsze utwory naszych znakomitych powieściopisarzy dzisiejszych, tudzież polskie i zagraniczne czasopisma illustrowane.

Promienie słoneczne, wpadające przez rozwarte okna do obu pokoi, napełniały je wesołością i życiem. Łamały się w bronzach i w polityrze starych mahoniowych mebli w stylu pierwszego cesarstwa; ślizgały się po jasnych obiciach ścian; igrały w porcelanie i szkle na umywalni.

— Jak tu pięknie! spokojnie! błogo! — myślał syn Złotej Rączki i Czupiradła. — Ach, czy to tylko nie senne marzenie!

Chłodna woda, w której się mył, orzeźwiła go i zmusiła uwierzyć w rzeczywistość rozkoszy, jakiej doznawał. Jakób wydobył z kosza nową garderobę młodzieńca, który, ubrawszy się szybko, zbiegł wraz ze służącym na parter do salonu.

Czekała w nim na gościa księżna, lecz tym razem już nie sama.

W framudze otwartego na ogród okna siedziała panienka, przedziwnej, niezwykłej piękności. Wydała się ona w pierwszej chwili artyście nadprzyrodzoną, olśniewającą wizyą. Nigdy jeszcze — prócz Grazielli, poczytywanej przez niego za najdoskonalszy model, jakiego malarz pragnąć może — nie spotkał Piotr w życiu tak uroczej, tak skończenie pięknej istoty.

Zosia, siedząca na wysokiem krześle, z wzrokiem utkwionym w kanwę robótki, podniosła główkę, a oczy jej błękitne skrzyżowały się z oczami zachwyconego jej widokiem młodego człowieka.

— Moje dziecko, przedstawiam ci pana Piotra Bułata — powiedziała księżna. — Jest to utalentowany malarz, którego pan Filip Glenmour nam przysyła z Warszawy. Ma on przyozdobić drewniane ściany wielkiej sali malowidłami własnej inwencyi. Liczę na ciebie, droga Zosiu, że go zapoznasz z moimi upodobaniami i uprzedzeniami w sztuce.

— Księżna nie zachwyca się sztuką nowoczesną — szepnęła Zosia słodkim głosem.

— A czy wolno zapytać, który z kierunków najbardziej się podoba księżnej pani? — rzekł Piotr ośmielony dobrocią, malującą się na twarzach poważnej matrony i ślicznej panienki.

— Stara szkoła wielkich mistrzów włoskich i holenderskich — odpowiedziała ostatnia.

— I ja wielbię starych mistrzów, sądzę jednak, że każda epoka powinna mieć w sztuce właściwy sobie wyraz i charakter, więc, korzystając z tradycyjnych zdobyczy przeszłości, starać się musimy jednak o nadawanie utworom naszym znamion dzisiejszych czasów. Piękno i prawda są jedynymi celami i zadaniami sztuki, ku którym wszyscy prądziwi artyści zdążali niegdyś... i dziś jeszcze zdążać pragną.

— Bylebyście nie wpadali w parodyę piękna i karykaturę prawdy — odparła księżna — jak to czyni wielu pseudo-reformatorów dzisiejszych, pozujących na wielkość, chociaż są tylko bardzo miernymi rzemieślnikami, pokrywającymi pospolitość swojej techniki i ekscentryczność wysilonej inwencyi szumnymi frazesami o nowych kierunkach. Reklama im sprzyja i reklama nad poziom ich wynosi; lecz zobaczy pan, że za lat kilkadziesiąt a może nawet kilkanaście, zdrowy rozum i szlachetne poczucie piękna odzyszczą utracone prawa, a wtedy, z pośród mnóstwa dziś przechwalanych talencików i gieniuszków pozostanie zaledwie kilku, którym przyszłość przyzna cel i uznanie, jakie należy się tylko rzeczywistym talentom i gieniuszom.

— Nie podzielam twego zdania, droga ciociu — rzekł Jerzy, który wraz z dzwonkiem, zapowiadającym śniadanie, zjawił się nagle w salonie.

— Czy podsłuchiwałeś pod drzwiami?

— Broń Boże! lecz wchodząc tu, jak zwykle przez nikogo nie spostrzeżony, słyszałem, jak wypowiadałaś zacofane swe przekonania o sztuce.

— Więc nie podzielasz mego zdania?

— Stanowczo nie podzielam. Jestem duszą i ciałem modernistą i cenię tylko nowoczesne kierunki, tak w sztuce, jak w literaturze.

— To znaczy, że w treści lubisz blichtr, rażący oczy, a w środkach modną brutalność.

— Blichtr i brutalność posiadają także swoje zalety i racyę bytu! — To mówiąc, zwrócił się do wychowanicy księżnej i zapytał: — A pani, panno Zofio, co nam powiesz w tym względzie?

— Nic, bo nie znam się na malarstwie, więc wyrokować nie mam prawa — odpowiedziało dziewczę. — Zresztą, lubię wszystko, co mi się pięknem wydaje, czy dzieło należy do starej, czy nowoczesnej szkoły.

— Wypadałoby jednakże wyrobić sobie smak jaśniej określony, bo pani, jak słyszę, masz kierować artystą, który dziś przybył do Zahajec — rzekł Jerzy, uśmiechając się ironicznie i patrząc z ukosa na Piotra.

— O, za nic na świecie nie ośmieliłabym się narzucać panu Bułatowi moich nieudolnych rad i wskazówek.

— Co nie przeszkadza, że jedynie rady i informacye pani wysłuchane będą, bo ciocia to tylko uzna za dobre, co zyszcze pani aprobatę i pochwałę.

Szyderstwo i gniew tętniły w wyrazach młodzieńca, chociaż mówił z pozornie miodową uprzejmością. Zofia go rozumiała, odczuwając, jak wiele podstępnej złośliwości mieści się w każdem jego słówku. Na szczęście przybycie marszałka dworu, zawiadamiającego „księżnę panią, że śniadanie podane“, przerwało rozmowę, przybierającą ton zgryźliwej i gorzkiej polemiki.

Po śniadaniu Piotr prosił o pozwolenie zwiedzenia parku, zanim zabierze się do roboty.

Czuł, że dekorując główną salę w pałacu, musi przejąć się wrażeniami otoczenia, zwłaszcza, że ułożony niegdyś przez słynnego ogrodnika plan klombów, szpalerów, alei, dróg i ścieżek w parku, dostrajał się wraz z gmachem do harmonijnej i stylowej całości.

Przechadzając się w cieniu lip stuletnich, przypominał sobie wszystkie szczegóły swego do Zahajec przybycia. Więc naprzód: łaskawe powitanie go przez księżnę na progu pałacu; dalej rozkosz, sprawioną widokiem dwóch ładnych i wesołych pokoi, jakie mu wyznaczono na mieszkanie; potem przedstawienie się dziwnie pięknej osobie, przemawiającej do niego życzliwie; wreszcie wspólna konwersacya przed śniadaniem i przy śniadaniu — w której niesympatycznym kontrastem z wszystkimi był tylko hrabia Wielogrodzki, pod każdym względem dlań niemiły, równie całą swą arystokratycznie zmanierowaną figurą, jak tonem głosu i sposobem wyrażania swych przekonań i poglądów. Jerzy, chociaż młody, przystojny, wykształcony i inteligentny, stanowczo mu się nie podobał, postanowił zatem widywać go, o ile się da najrzadziej, a nawet spotykania się z nim — jak ognia unikać.

Po południu zabrał się Piotr do pracy. Żwawym rozmachem pędzla naszkicował kilka projektów do *panneaux* wielkiej sali, którą naprzód obejrzał i zbadał dokładnie. Przedstawił je do oceny i uznania tak księżnej, jak Zosi.

Pokazało się, że chociaż modernista, rysuje poprawnie, jak człowiek, który uczył się rysunku u jednego z mistrzów ubiegłej epoki, maluje zaś równie śmiało i efektownie, jak najlepsi z nowoczesnych artystów. Zaraz nazajutrz, po wybraniu przez panie paru szkiców, zaczął nakładać tła na

deski, aby je następnie po wyschnięciu wsunąć w kilka ram medalionowych, bogato rzeźbionej i złoconej „boazeryi“, z jakich składały się ściany wspaniałej, barokowej komnaty. Poczem na zagruntowanych deskach zaczął malować obrazy według wybranych szkiców.

Co rano Zosia ukazywała się w sali i, siadłszy z robótką pod olbrzymią rośliną tropikalną — których kilka stało tu w olbrzymich majolikowych wazonach — patrzyła z ciekawością na pracę Piotra, którego pędzel, ujęty pewną ręką, poruszał się i śmigał niezmiernie zwinnie. Na widok pięknego młodzieńca, swobodnie siedzącego na drabinie, słodkie jakieś uczucie wprawiało jej serduszko w nieznane dotąd dziewczęciu drżenie.

Młody malarz odtwarzał krajobrazy lubelskie, wiernie zaznaczając ich charakterystyczne cechy, bo wrażliwością prawdziwego artysty wchłonął ich wdzięk szczególny niezmiernie szybko w duszę.

— Jak się to pani podoba? — zapytał Zosię pewnego dnia, wskazując jedno *panneaux* zupełnie wykończone.

— Prześliczne!... Pewną jestem, że księżna podzieli moje zdanie. Lecz pozostaje jeszcze siedm do zrobienia. Zajmie to panu pewnie całe lato, zwłaszcza, że każdy obraz ma być inny, tak układem, jak i treścią.

— Na przeciwległym mam zamiar odmalować ugor, porosły drobną, niską, gęstą, białą koniczyną. Na niej pasące się owce, których liczne stada widuję ciągle w polu. Czuwać nad niemi będą psy, ciekawe typy tutejszych owczarskich kundysów... lecz zamiast owczarza lub owczarczyka, chciałbym posadzić na ziemi, albo na rozesłanej jaskrawej płachcie... pasterkę w stylu XVIII wieku, żeby to jakoś licowało z dawną drewnianą dekoracyą komnaty. Nie mogę z tychże samych względów odtworzyć dzisiejszej chłopki... a do pasterki *à la* Watteau, skąd wezmę modelu?

— Szuka pan modelu? — zapytała Zosia, a oczy jej rozpromieniły się, jak dwie jasne gwiazdeczki.

— Gdybym mógł znaleźć dziewczynkę, choćby tylko w ogólnych kształtach do pani podobną... bo z głową, to już i na pamięć poradziłbym sobie może... — odparł Piotr poważnie.

— Jeśli pan sobie życzy... jeśli to się przydać może do stworzenia interesującego dzieła... chętnie sama pozować będę.

Nie mówili więcej o tym przedmiocie.

Piotr uczuł się zmieszany, a nawet wzruszony. Nie wiedział, jak ma dziękować panience, którą uważał za osóbkę znacznie wyżej od siebie stojącą w hierarchii społecznej, równie ze względu na wychowanie, jak prawdopodobnie i na urodzenie. Wszyscy traktowali ją w pałacu, jakby była córką wielkiej pani, właścicielki Zahajec. Każde jej życzenie spełniano w lot, z pełnym ugrzecznienia pośpiechem, chociaż nie rozkazywała nigdy, tylko o wszystko uprzejmie prosiła. Nazajutrz jednak, skromność jego uległa artystycznej pokusie, naszkicował więc pobieżnie na małem płótnie portrecik Zosi. W szkicu tym odwzorował przedziwnie niepospolity wdzięk jej lic i postaci.

Z początku zachwycał się nią tylko jak malarz, wydawała mu się bowiem cudnem zjawiskiem artystycznem, lecz powoli... powoli... spostrzegł, że lgnie do niej całem sercem. Myśli i dusza jego nią jedynie były zajęte. Wykończywszy obraz, w którym rolę głównej heroiny Zosi wyznaczył, odczuł, że gorączkowa praca z *sił* go wyczerpała. Dzieło jego było istotnie *bardzo piękne*. Pomimo stylizacyi bezwzględnie nowoczesne, namalowane z nadzwyczajną wrażliwością artystyczną, oryginalne i osobiste. Przelał w nie cały ogrom wstrząsającego nim uczucia. Nadto, niezmiernie udatnie zharmonizował tło kompozycyi z postacią ukochanej bohaterki, tak, że utwór dyszał równocześnie poezyą i prawdą, formą archaiczną i duchem dzisiejszym — a szczególnie życiem... życiem... życiem!...

— Ależ to portret Zosi! – rzekła księżna z lekkim odcieniem niezadowolenia i złego humoru, gdy po raz pierwszy przyszła obraz obejrzeć. – O ile mi się zdaje, nie prosiłam pana o namalowanie mojej wychowanicy.

— To ja sama, moja dobrodziejko, narzuciłam się panu na model — rzekło dziewczę słodkim głosem.

— To co innego!... W takim razie nie mam nic przeciw wizerunkowi Zosi. Owszem, winszuję panu... szczerze winszuję. Obraz piękny, a podobieństwo nadzwyczajne!

Jerzy, chociaż obecny podczas całej tej sceny, milczał.

Widoczne jednak porozumienie, panujące między Zosią a malarzem, mocno go irytowało. Sądził nawet, że jest niebezpieczne.

Pewnego ranka, spotkawszy księżnę przed pałacem — podał jej ramię i poprowadził w głąb parku.

— Co to znaczy, że ciocia wyszła dziś sama na spacer? Dlaczego panna Zofia ci nie towarzyszy?...

— Zosia przypatruje się malowaniu pana Piotra Bałuta.

— Czy ciocia nie znajduje, że poufałość, łącząca ją z obcym człowiekiem, nie jest wcale dla młodej panienki właściwą?

— Pozostawiam Zosi zupełną swobodę, bo jej ufam... bo wiem, że nie zboczy nigdy z prawej drogi.

— W takim razie lepiej nie mówmy o niej.

— Ależ owszem, mówmy! Nie zabraniam ci się nią zajmować, a nawet nie gniewałabym się, gdybyś ją pokochał, bo uważam ją za osobę doskonałą, pełną przymiotów i zalet. Jako żona, uszczęśliwi niezawodnie swego przyszłego męża.

— Ja miałbym pokochać pannę Zofię!... ja miałbym się z nią ożenić?! — mówił Jerzy, gorzko się śmiejąc.

— Dlaczegóżby nie?

— Bo Wielogrodzkiemu, moja ciociu, nie wolno się ożenić z osobą bez nazwiska, nie należącą do naszej sfery towarzyskiej.

— Nie zwracaj zatem uwagi na jej postępowanie. Co do mnie, pozwolę jej poślubić człowieka, którego pokocha, choćby był ubogi, jak biblijny Hiob. Majątek, jaki Zosia mieć będzie, wystarczy na dwoje.

— To znaczy, że ciocia ją wyposaży po królewsku?

— Całą moją fortunę podzieliłam na dwie nierówne części. Mniejszą ty otrzymasz... a większą ona...

— Uczynisz to dla osoby obcej, z którą nic cię nie łączy? Ależ to krzycząca niesprawiedliwość! – szepnął Jerzy, zaciskając zęby i gniewnie spoglądając na księżnę.

— Pomów z księdzem Janem, a dowiesz się, co i on postanowił w tym względzie. Tak mój brat, jak ja, kochamy dziecko, które wyrwaliśmy śmierci i wychowali. Oboje pragniemy zabezpieczyć jej przyszłość. Pomimo nierównego podziału będziesz jeszcze dość bogatym, zwłaszcza, jeśli zabierzesz się do pracy. Mężczyzna powinien pracować. Oczekujemy tego od ciebie. Na co mielibyśmy się łudzić próżnemi nadziejami?! Nie chcemy, abyś, wiodąc próżniaczy żywot, czekał na to, co ci stryj i ciotka pozostawią. Nie masz zamiaru ożenić się z Zosią... no! to nie mówmy o tem. A jednak, było to mojem pragnieniem najgorętszem. Zosia jest zacną i rozumną dziewczyną, umiałaby cię oderwać od blichtru warszawskich stosunków światowych, wywieść z szkodliwego otoczenia i skierować na drogę obowiązku. Bądź pewnym, że z godnością nosiłaby drogie i mnie nazwisko Wielogrodzkich.

Rozmawiając w ten sposób, doszli do kiosku, stojącego na granicy parku i łączącego się tu z nim lasu. Matrona weszła do chińskiej altany, żeby nieco odpocząć po długiej przechadzce. Synowiec usiadł przy niej na ławce. Od wczoraj znał Jerzy mniej więcej dokładnie historyę rodziny Zofii, otrzymał już bowiem drugi list od Bogajewskiego, w którym usłużny pasożyt streszczał znaną nam rozmowę Franciszki z Eugenią Molską. To też cieszył się wewnętrznie myślą, że będzie mógł ciotkę zgnębić i pokonać, odkrywając jej tajemnicę pochodzenia faworytki.



...a oczy jej błękitne skrzyżowały się z oczami zachwyconego jej widokiem młodzieńca.

— Kto się z pupilką twoją ożeni, będzie prawdziwie szczęśliwym człowiekiem, bo go pokochasz, jak rodzonego syna — rzekł chłodno, z udanym spokojem.

— Zosię uważam za córkę, nic więc dziwnego, że do jej męża przywiążę się, jak do syna. A powiem ci szczerze, że z niecierpliwością oczekuję na chwilę, w której wybrany przez nią młodzieniec poprowadzi ją do ołtarza. Nie będę sama; otoczą mnie jej dzieci... które uważać będę za moje wnuki. Gdyby dzieci jej były zarazem twojemi, kochałabym je prawdopodobnie bardziej... lecz cóż robić?... Ty nie chcesz jej poślubić, chociaż daję słowo, że nie pojmuję, jak możesz żyć blisko niej, patrzeć na nią codziennie i nie ubóstwiać, jak my z twoim stryjem ją ubóstwiamy.

— Jestem przecie Wielogrodzki!

— Lecz jesteś także synem Leonii Skopińskiej! wyrwało się z ust księżnej mimowolnie.

— Skopińscy dobra szlachta.

— Być może, ale... ale... jest straszne „ale“, rzucające cień na ich rodzinę.

Jerzy zbladł.

— Na co mamy grzebać w popiołach smutnej przeszłości — szepnęła Amelia, przesuwając dłonie po zachmurzonem czole. — Ile razy wymawiam imię twojej matki, czuję dreszcz, przebiegający po ciele... i przejmuje mnie lęk o ciebie, bo chociaż jesteś Wielogrodzkim, nie łatwo ci przyjdzie znaleźć żonę.

— Niedawno temu — rzekł Jerzy, podnosząc się z miejsca i ocierając z twarzy zimny pot, który na nią nagle wystąpił — jeden z młodych ludzi wypoliczkował mnie niemal na wyścigach niejasnemi, lecz sarkastycznemi aluzyami. Była chwila, że miałem zamiar go zabić, bo krew uderzyła mi do głowy, lecz, zastanowiwszy się nieco, przyszedłem do przekonania, że coś pod słowami zuchwałego śmiałka ukrywać się musi, więc zamiast podnieść je, jak należało i wyzwać przeciwnika, zadowolniłem się pokornem, płaczliwem, dziecinnem przeproszeniem, dając pokój sprawie, którą tylko pojedynkową rozprawą załatwić wypadało.

— I dobrze uczyniłeś!

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Barykady w Limoges.

W departamencie Haute-Vienne leży miasto Limoges, które w połowie kwietnia było widownią zażartej walki robotników z wojskiem. Walka ta następnie stała się przedmiotem rozpraw w Izbie francuskiej, gdzie domagano się surowego śledztwa względem winnych.

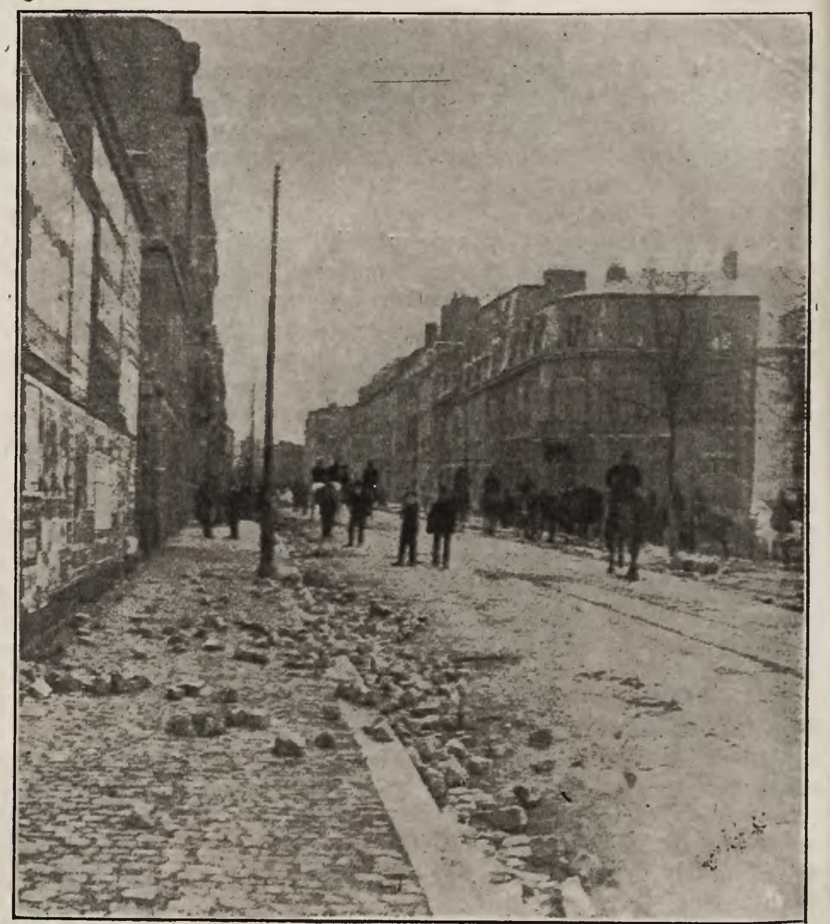
W jednej z fabryk porcelany, Havilanda, zażądali robotnicy wydalenia z fabryki majstra. Fabrykant żądaniu robotników odmówił, a wtedy ci ostatni porzucili pracę. Tymczasem inni właściciele fabryk zsolidaryzowali się z Havilandem i wypowiedzieli pracę wszystkim robotnikom w liczbie około 12 tysięcy. Choć władze miejscowe chciały pośredniczyć i robotnicy pragnęli zgody, zawarcie ugody nie mogło przyjść do skutku wskutek oporu fabrykantów, którym ten lokaut o tyle był na rękę, że niszczył małych fabrykantów, nie rozporządzających tak wielkim kapitałem, jak właściciele wielkich fabryk. To rozgoryczyło ludność robotniczą, a dolała oliwy do ognia odmowa wypłacenia chorym zasiłków z kas fabrycznych. Oburzenie na fabrykantów w mieście wzrosło do tego stopnia, że przyszło do publicznej demonstracyi przeciw fabrykantom, w czasie której zupełnie bezpotrzebnie interweniowało wojsko i rozpędzając demonstrantów, zraniło kilku robotników. To zwiększyło jeszcze niepokój w całem mieście. Na drugi dzień robotnicy uzbroili się. Burmistrz złożył swój urząd a zarząd miasta przeszedł w ręce wojskowe, w ręce generała Plazaneta. Przez 3 dni z rzędu, od soboty do poniedziałku włącznie, powtarzały się rozruchy uliczne. W niedzielę rzucono bombę przed dom znienawidzonego fabrykanta.

Robotnicy zamknęli ulice drutem kolczastym, pobudowali barykady i bronili się przed szturmującem wojskiem. W trzeci dzień rozruchów robotnicy przeciągali przez ulice z czarnemi chorągwiami i chcieli uwolnić z więzienia aresztowanych. Przyszło znowu do starcia z wojskiem, które użyło broni. W czasie walki na barykadach, w ulicach prowadzących do rynku zabiło wojsko 3 robotników, a raniło bardzo wiele osób. Lud obrzucił wojsko kamieniami, szkłem, kawałkami żelaza, przyczem zraniono 7 oficerów i 63 żołnierzy lekko.

Obok podajemy zdjęcia: ulicy, ze szczątkami barykad — i drugie, przestawiające widok ulicy na której przed fabrykami stoją konne patrole wojska. Również podajemy podobiznę generała Plazaneta, komendanta wojsk w Limoges.



**Barykady w Limoges**: Generał Plazanet, komendant wojsk francuskich w Limoges.



**Barykady w Limoges**: Konne patrole wojskowe strzegą fabryk na „rue de la Mauvandière“.

## Kółko amatorskie w Żywcu.

W małych miasteczkach prowincyonalnych, w Galicyi, do których rzadko kiedy zajeżdża jakaś trupa teatralna, kółka amatorskie, urządzające przedstawienia teatralne, mają ogromne znaczenie. One to rozbudzają w takiej mieścinie ruch umysłowy, wyrywają sennych mieszczuchów ponad szarzyznę powszedniego życia, a w czasie nudów są jedyną rozrywką, nietylko przyjemną, ale i pożyteczną. O ileż większe zadanie mają jednak kółka amatorskie w miastach kresowych, w miastach, w których ludność przez obcowanie z inną, często bardziej kulturną narodowością, narażona jest na wynarodowienie się.

Tam kółka amatorskie, to jakby kresowe stanice polskości, jakby źródła, bijące ciepłem narodowego ducha, podnoszące dusze ospałe i wynarodowione. Odczyty, pogadanki, zakładane teraz coraz częściej na kresach biblioteki, nie są zdolne zrobić tam dla podtrzymania polskości tyle, ile jedna scena, chociażby amatorska tylko. Nic bowiem nie działa na duszę tak silnie, jak żywe słowo ze sceny, nic bardziej nie wzruszy człowieka, o duszy zimnej, jak widok wspaniałych dziejowych momentów na scenie.

W Żywcu, w mieście, otoczonem zewsząd prawie niemczyzną, kółko amatorskie, jakie się tam przed kilku miesiącami zawiązało, ma za zadanie nie tyle obudzenie życia towarzyskiego, nie tyle rozrywkę w czasie nudów, tak zwykłych na prowincyi, ile obudzenie ducha narodowego wśród szerokich mas, i szerzenie polskości wśród niemczyzną przesiąkniętych i na niemiecką modłę już myślących Polaków. Zadanie to spełnia kółko amatorskie w Żywcu wedle sił i możności. W ubiegłą niedzielę odegrano w sali „Sokoła“ „Obronę Częstochowy“ czyli „Przeor ks. Paulinów“.

Sztuka ta była dla publiczności żywieckiej jakby rosą ożywczą wśród walki z niemcami. Odegrana przez amatorów wybornie pod każdym względem, na długo zapisała się w pamięci Żywczan. Podnieść trzeba, że kółko amatorskie postarało się o bardzo ładne kostyumy i dekoracye, które do sztuki takiej, jak „Obrona Częstochowy“ są niezbędne. Toteż amatorów nagradzano po każdej odsłonie hucznymi oklaskami. Mamy nadzieję, że kółko rozwijać się będzie coraz bardziej, a pole do pracy ma wielkie i wdzięczne.

Podajemy w dzisiejszym numerze grupę amatorów w kostyumach z „Obrony Częstochowy“. Wyróżnia się wśród nich przeor Paulinów, ks. Kordecki, doskonale ucharakteryzowany.



**Barykady w Limoges**: Ulica, prowadząca do Rynku ze szczątkami barykad.

## Syam i król syamski.

Jedynym krajem w Indyach Zagangesowych, który do dziś dnia utrzymał swą niepodległość i oparł się zaborczości Francyi i Anglii, jest Syam. Jest to kraj mały, bo obejmuje zaledwie 633.000 kilometrów kwadratowych, graniczący z Chinami i otoczony zewsząd prawie posiadłościami angielskiemi i francuskiemi.

Od roku 1850 cywilizacya europejska rozpoczęła w Syamie zataczać coraz szersze kręgi. Następcy tronu wyjeżdżali zwykle do Europy, tu poznawali ostatnie zdobycze kultury, kształcili się i powróciwszy do ojczyzny, starali się zaszczepić na gruncie rodzimym to, czego się nauczyli. I dzisiejszy król, Czala-Lonkoru, którego podobiznę podajemy powyżej, jest dla Syamu pionierem europejskiej kultury. Zwiedził on w r. 1897 Francyę, Niemcy, Anglię i obecnie pracuje nad ucywilizowaniem i podniesieniem swego kraju. Praca jego

obfita w plon, bo cywilizacya europejska nietylko, że podniosła poziom umysłowy, ale przyczyniła się w znacznej mierze do podniesienia dobrobytu. Zaprowadzono bowiem za staraniem króla kilka linii kolejowych, wybudowano kilka wygodnych portów, przez co wzmógł się ogromnie handel i wywóz do Syamu, a handel ten przynosi państwu nie małe dochody. Cywilizacya europejska w Syamie, tak gorąco popierana przez obecnego króla, ma jeszcze jedno bardzo ważne znaczenie dla Syamu: jest ona rękojmią, że jeśli Syam będzie państwem cywilizowanem, to nie utraci swej niepodległości politycznej i nadal cieszyć się będzie wolnością.

Król Czala Lonkorn przebywa w stolicy Baugkok, albo Bankob. Dochody państwowe wynoszą w Syamie około 2 miliony funtów szterlingów, resztę bowiem pochłania sprzeniewierstwo urzędników, których król, mimo najszczerszych usiłowań, nie zdołał dotąd ująć w karby. Złodziejstwa urzędników syamskich, których śmiało można porównać z rosyjskimi czynownikami, są słynne w Azyi. Jest jednak nadzieja, że energiczny król wkrótce położy temu kres i zaprowadzi europejski ład w administracyi państwa.

Podajemy Szanownym Czytelnikom portret obecnego władcy Syamu, Czala-Lonkorna, w stroju europejskim.




**Przewożenie domów w Ameryce**: Przewożenie banku zapomocą koni na nie wielką odległość.

## Przewożenie domów w Ameryce.

Ameryka jest krajem nie tylko największych bogaczy i największych domów, ale także krajem najbardziej awanturniczych przedsięwzięć. To, o czem w Europie opowiadają sobie jako bajeczki, w Ameryce bardzo często staje się rzeczywistością. Amerykanie wogóle, co do śmiałości w przedsięwzięciach, są może pierwsi na świecie. Ufni w potęgę kapitału, którym rzeczywiście rozporządzają, pozwalają sobie na rzeczy, o których my, w Europie, nawet marzyć nie możemy. My jesteśmy zawsze ostrożni, zawsze wyrachowani, nie przystępujemy do żadnego przedsięwzięcia, nie obliczywszy naprzód wszystkich danych za i przeciw, a jeśli natrafimy choć na pozory ryzyka, cofamy się. Inaczej u Amerykanów. Ci ludzie, żyjący tylko dla interesu i interesem, ludzie, dla których bussines jest bożyszczem, ryzykują prawie zawsze i prawie zawsze wychodzą zwycięzcami. Sprawdza się na nich stare rzymskie przysłowie, że „dzielnym los dopomaga“, — *fortes fortuna iuvat.*

Któż naprzykład w Europie zastanawiał się kiedy seryo nad tem, czy można dom mieszkalny z całem urządzeniem przenieść z jednego miejsca na drugie? Opowiadano nieraz o tem, ale zawsze z dobrodusznym, niedowierzającym uśmiechem. Tymczasem przewożenie domów w Ameryce jest rzeczą najzupełniej naturalną i w ostatnich czasach dość często się powtarzającą.

Na zamieszczonych w dzisiejszym numerze rycinach widzimy właśnie przewożenie domów w Ameryce. Na jednej rycinie przewożą dom cały na zwyczajnych legarach, zaopatrzonych kołami, tak, że stanowią one jakby pewnego rodzaju wóz, ciągniony przez kilka par silnych koni. Na drugiej dom cały zsunięto na pokład ciężarowego wagonu i lokomotywa ciągnie go na przeznaczone miejsce. Domy te jednak są budowane inaczej niż u nas. U nas bowiem przewiezienie domu byłoby rzeczą niemożliwą choćby dlatego, że domy nasze mają zwykle fundamenty, a konstrukcya ich jest taka, że przy zesunięciu ich z pewnego miejsca na legary np. musiałyby się zawalić. Amerykanie budują inaczej. Tam domy nie mają fundamentów, głęboko w ziemię idących, ale mają strukturę żelazną, spojoną bardzo silnie, stanowiącą jakoby szkielet domu, na który narzucono ściany z desek czy cegieł. Taki dom można śmiało podnieść, przewozić i postawić na innem, nieraz bardzo odległem miejscu.

Przenoszenie domów w Ameryce ma miejsce najczęściej w małych miastach, które, rozszerzając się, powodują przeniesienia rozmaitych banków, sklepów itd. do dzielnicy więcej ożywionej, więcej ruchliwej, aniżeli ta, w której poprzednio się znajdowały. Na rycinie naszej widać właśnie bank, który zapomocą koni przewozi się na stosunkowo niewielką odległość. Gdzie odległość jest większa i wynosi czasami mil parę, np. w pustych, dopiero zaludniających się okolicach, tak, jak widzimy na drugiej rycinie, przewozi się dom specyalnie w tym celu sporządzoną koleją. Praktykują to zwłaszcza farmerzy, którzy, przybywszy do Ameryki, wystawili sobie fermę u skraju przeznaczonej im do uprawy roli. Z czasem, kiedy ludność wzrosła i stosunki się zmieniły, muszą się przenieść dalej, kilka mil nawet i tam musieliby znowu stawiać dom. Zapobiegają temu w ten sposób, że przewożą fermę, nieraz z dwóch i trzech budynków złożoną. Już to Amerykanom nie brak pomysłowości.



Fot. R. Strenger. Żywiec.

**Kółko amatorskie w Żywcu**: Grupa amatorów w kostyumach ze sztuki p. t. „Obrona Częstochowy“.




**Przewożenie domów w Ameryce**: Przewożenie farmy za pomocą kolei żelaznej do miejsca, oddalonego o kilka mil.



**25-letni jubileusz kapelmistrza**: Jubilat Karol Roll kapelmistrz 30 p. p. we Lwowie.

## 25-letni jubileusz lwowskiego kapelmistrza.

Jeden z najzdolniejszych kapelmistrzów i kompozytorów naszej doby — popularny i lubiany powszechnie we Lwowie, a znany w całej Austryi i za granicą—Karol Roll—obchodzi w tych dniach 30-lecie artystycznego swego zawodu. Chociaż obcokrajowiec, przylgnął całem sercem do polskiego społeczeństwa, a przeważna część jego utworów nosi czysto narodowe piętno i oparta jest na ludowych motywach. Napisał on w przeciągu 30 lat 15 mazurów, 10 polonezów, kilkadziesiąt kołomyjek. Prócz tego ułożył wspaniały „Wieniec polski“ — prawdziwe arcydzieło kunsztu muzycznego. Ale nietylko jako kompozytor i kierownik orkiestry ma zasłużoną swą sławę. Sam należy do najlepszych wirtuozów, zwłaszcza w grze na trąbce, zwanej „flügelhornem“. Zdumiewająca to zaiste wszechstronność muzyczna. Zawdzięcza ją Roll wrodzonemu talentowi i wybornej szkole praktycznej, jaką w karyerze swej nabył. Kształcił się zaś u takich mistrzów, jak słynny kapelmistrz Mittenneger, znakomity głośny kompozytor Alfons Czibulka i Józef Stern. Ostatni trzej byli równocześnie jego przełożonymi — kapelmistrzami, podczas gdy Roll służył w muzyce pułkowej jako feldfebel. Roll zna całą Austryę i jest również dobrze znany. Wenecya, Werona, Bozen, Tryest — oto główne etapy artystycznej jego wędrówki. Wielki Waradyn, Kaszów, Serajewo — rozbrzmiewały również wesołemi tonami jego utworów. Od r. 1888 bawi stale we Lwowie, jako wojskowy kapelmistrz 30 pułku piechoty i jest w posiadaniu zaszczytnych odznaczeń i wyróżnień od najwyższych osób i instytucyi. Roll jest ozdobiony złotym krzyżem zasługi, wojskowym medalem „virtuti militari“, medalem jubileuszowym i odznaką służby wojskowej I klasy. Posiada prócz tego wiele dyplomów honorowych, podziękowań i podarunków.

Dzielny kapelmistrz jest w najlepszych latach i siłach, a twórczość jego i niewyczerpana ilość pomysłów kompozytorskich, daje zupełną gwarancyę, że długo jeszcze będzie pracował dla społeczeństwa, które dla przybranego swego syna jest z prawdziwą miłością i uznaniem. Roll obchodzi w październiku 40-lecie kompozytorskiej swojej pracy, z której 23 ostatnich lat przepędził stale we Lwowie.

W numerze niniejszym podajemy portret dzielnego jubilata, jak również zbiorowe zdjęcie orkiestry 30 p. piechoty, która pod znakomitem kierownictwem Rolla—zyskała tą samą wziętość i uznanie — jak orkiestra 13 p. pod wytrawną batutą kapelmistrza p. Hocka w Krakowie.

## Generał Négrier.

Dzienniki podawały, że w spisek przeciwko republice francuskiej zamieszany jest także generał Négrier i że nawet on miał być upatrzonym na głównego komendanta tych wojsk, które w mundurach, znalezionych u Tamburiniego, miały iść obalać republikę! Ze względu na aktualność całej sprawy, podajemy w tym numerze fotografię generała Négriera, podając kilka bliższych szczegółów o nim samym, jako o jednym z najdzielniejszych generałów francuskich.

Generał Négrier ma już dziś 65 lat i ma za sobą 45 lat czynnej służby wojskowej. Z końcem zeszłego roku wystąpił z czynnej służby, w której historyi ma kilka chlubnych kart. Do wojska wstąpił w r. 1859 i służył przy strzelcach pieszych aż do r. 1875, w którym to roku został



**Generał Négrier**: Fotografia gen. Négriera, zamieszanego w proces Tamburiniego.




**25-letni jubileusz kapelmistrza**: Orkiestra 30 p. piechoty z kapelmistrzem-jubilatem K. Rollem pośrodku.

zamianowanym pułkownikiem. Jako generał dywizyjny był pułkownikiem piechoty, w swem mieście rodzinnem, w Belfort i jedynastego korpusu armii w Nantes. W r. 1893 zostaje zamianowanym członkiem najwyższej Rady wojennej, którą to godność piastował z krótką przerwą przez dziesięć lat z rzędu. Generał Négrier dowodził kilku wyprawami kolonialnemi — a nawet w czasie jednej z nich został ciężko rannym. W czasie wojny francusko-niemieckiej odznaczył się walecznością i brał udział w kilku znaczniejszych walkach. Pod Saint-Privat został ranionym, a wymknąwszy się z Metzu, żeby się połączyć z resztą armii, został powtórnie ranionym w bitwie pod Villers-Bretonneux. Za waleczność otrzymał generał Négrier wielki krzyż Legii honorowej.

## Delcasse, Francya i Niemcy.

Podróż cesarza Wilhelma II do Marokka i wygłoszone tam mowy, mające wielkie znaczenie dla



**Delcasse, Francya i Niemcy:** Delcasse, francuski minister spraw zewnętrznych.

stosunków dyplomatycznych, a skierowane aż nazbyt wyraźnie przeciw Francyi, wywołały w Paryżu i całej republice francuskiej energiczne protesty. W wielką środę jedenastu z rzędu mówców, w Izbie deputowanych, potępiło ryczałtem politykę ministra spraw wewnętrznych, Delcassego, wobec Niemiec. W obronie jego stanął jedynie prezydent ministrów Rouvier, ale i ten nie odważył się postawić na porządku dziennym kwestyi zaufania dla Delcassego. Wrażenie tych ataków było tak silne, że już wtedy mówiono o możliwości podania się Delcasse'go do dymisyi. Wtedy jednak Delcasse jeszcze nie zdecydował się na ustąpienie. Dopiero kiedy poseł japoński w Paryżu wniósł kategoryczny protest z powodu naruszenia neutralności wód francuskich na Dalekim Wschodzie przez Rożdiestwieńskiego i przez to podkopał jeszcze bardziej jego pozycyę, Delcasse wniósł w piątek dymisyę. Dymisya ta, choć o niej już przedtem mówiono, wywarła piorunujące wrażenie. I rzeczywiście, przyznać trzeba, że w obecnej chwili ustąpienie Delcassego byłoby niepowetowaną szkodą dla Francyi. Rozpoczęły się tedy pertraktacye, w których wziął udział nawet sam prezydent republiki Loubet, a rezultatem ich było, że Delcasse w sobotę cofnął podanie o dymisyę.

Ciekawa jednak rzecz, że cofnięcie podania wywołało żywe uznanie nawet u tych, którzy dwa dni przedtem jeszcze kopali Delcassemu dół pod nogami. Co wpłynęło na taką zmianę? Oto fakt, że prasa niemiecka powitała wiadomość o dymisyi Delcassego, z aż nazbyt widoczną „Schadenfreude“. To zadowolenie prasy niemieckiej przekonało Francuzów, że ustąpienie Delcassego teraz właśnie, wobec wyzywającego stanowiska Niemiec w sprawie Marokka, oznaczałoby tylko zwycięstwo rabunkowej, zaborczej dyplomacyi niemieckiej, a klęskę zagranicznej dyplomacyi francuskiej. Pozostanie Delcassego na dawnem stanowisku zawdzięcza tedy Francya tylko zbyt wczesnej radości Niemiec z powodu jego zamierzonego ustąpienia.

## Wiec szynkarzy we Lwowie.

Jak wiadomo, Sejm galicyjski ma zamiar prawo propinacyi, które, w myśl przepisów ustawy, ma wygasnąć w roku 1910, przedłużyć na dalszy okres, a to ze względu na to, że zniesienie prawa propinacyi grozi rzekomo ruiną dla całego szeregu miast i miasteczek prowincyonalnych, dla których dochody z propinacyi stanowią podstawę budżetu. Fakt ten spowodował grono szynkarzy do zwołania wiecu ogólno-szynkarskiego, celem naradzenia się nad stanowiskiem szynkarzy wobec zamierzonego przez rząd przedłużenia prawa propinacyi. Wiec ten, na który zjechało 180 delegatów z całej Galicyi, odbył się w dniach 29 i 30 marca we Lwowie, w sali ratuszowej.

Imieniem miasta Lwowa powitał gości wiceprezydent Michalski, a imieniem inicyatorów witał zjazd p. Rostal, przełożony korporacyi szynkarskiej z Tarnowa. Przewodniczącym wiecu wybrano pana Krzysztofa Janowicza, zastępcami pp. Stiegra ze Stanisławowa, Borysa z Przemyśla i Rostala z Tarnowa, sekretarzami pp. Eisnera z Przemyśla i Hausmana ze Stanisławowa. Na wiecu był też obecny poseł Stapiński.

Po przemówieniu kilku mowców, poseł Stapiński wezwał zgromadzonych do energicznego działania i postawienia sprawy jasno i otwarcie, w jaki sposób można zapobiedz zmniejszeniu się dochodów kraju przy zniesieniu prawa propinacyi, gdyż Wydział krajowy już ma gotowy projekt przedłużenia tego



**Syam i król syamski:** Obecny król Syamu, Czala Lonkorn w stroju europejskim.

prawa poza rok 1910 i Sejm tą sprawą wkrótce zajmować się będzie.

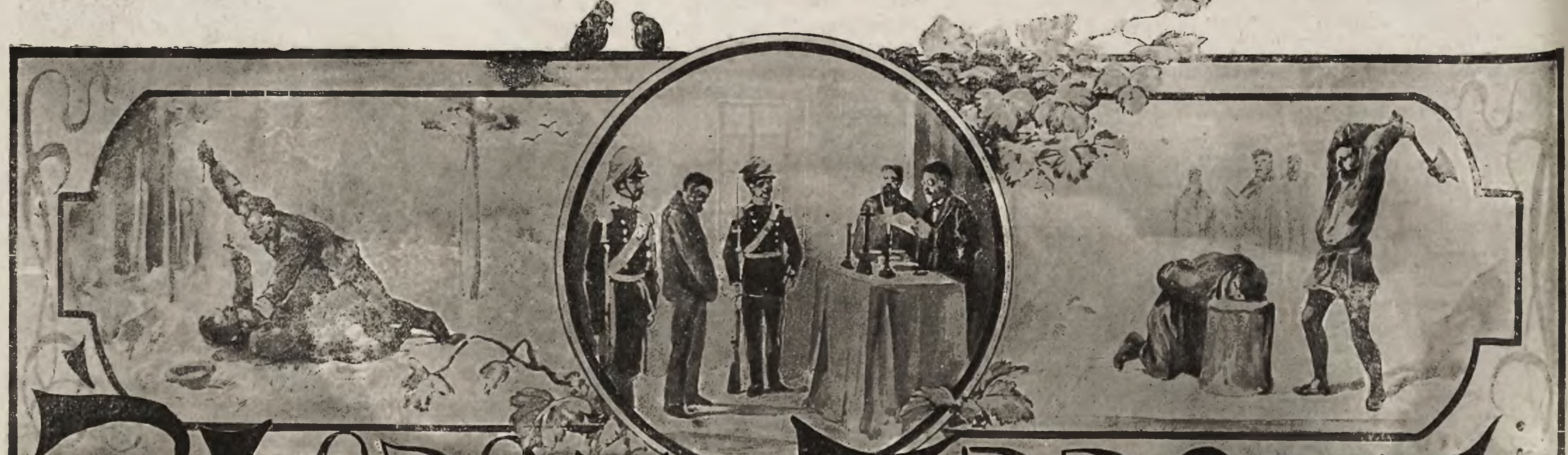
## Święcenie 1 Maja.

W ostatnim dziesiątku lat przyszli prowodyrzy socyalistów na pomysł dorocznego „święta robotniczego“, którego termin przypada na dzień 1 maja. Święto to obchodzone bywa ogólnym jednodniowym strejkiem — masowemi zgromadzeniami ludowemi i wielką ludową zabawą, urządzoną wieczorem na wolnem powietrzu.

Na zgromadzeniach, w których biorą udział tłumy odświętnie przystrojonych robotników i robotnic — przemawiają posłowie socyalistyczni i referenci, stawiane bywają żądania i uchwalane rezolucye. I u nas w Polsce weszło w *usus* pracującej klasy „święto robotnicze“. Lwów i Kraków trzymają w tym względzie prym. Rycina nasza przedstawia jedno z takich zgromadzeń, odbytych w dniu 1 maja pod gołem niebem we Lwowie. Tłumy cisną się dookoła trybuny, a raczej stołu, z za którego przemawia „referent“ w asystencyi sekretarzy i protokolantów i nieodzownej obecności władzy — reprezentowanej przez dwóch komisarzy policyi.



**Święcenie 1-go Maja:** Zgromadzenie ludowe we Lwowie pod gołem niebem.



# Śladami zbrodni

**Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.**

*Z rosyjskiego przełożył*

A. S.

9 Ciąg dalszy nastąpi.

— A dokąd pójdą wasza miłość? — zapytał wieśniak.

— Cierpliwości, mój stary! noc jeszcze. musisz przeczekać, a potem dowiesz się o wszystkiem. Prowadź nas tymczasem do izby!

Wieśniak ruszył przodem, a za nim szedł Włodzimierz z swoimi czterema towarzyszami. Woźnica został przy koniach, które wraz z saniami umieścił w otwartej szopie. W tej samej izbie, w której Włodzimierz leżał czas jakiś bez duszy, przybyli pozrzucali futra. Teraz dopiero można było zobaczyć ich żandarmskie mundury, szable i rewolwery. Jeden tylko Włodzimierz ubrany był po cywilnemu.

Z wypiekami gorączkowemi na twarzy, niepewny o los biednej Wiery, siadł na ławie za stołem — i zaczął naradzać się z swoimi towarzyszami.

— Musimy się przygotować do ciężkiej walki — mówił półgłosem — kto wie, czy zbrodniarze nie zabarykadowali się w gospodzie i czy nie zechcą stawić nam oporu, na kule odpowiadać kulami!... Weźmiecie karabiny, ukryte w saniach i za chwilę ruszymy. Ja wam pokażę drogę, nie potrzebujemy więc brać stąd żadnego przewodnika...

— A jednak byłoby to o wiele bezpieczniej! — odezwał się jeden z żandarmów. — Tutejsi ludzie muszą znać na pamięć okolicę, podczas gdy my możemy zabłądzić!...

— Mimo to ja sam spróbuję doprowadzić was do gospody — rzekł szorstko Włodzimierz — ja tu nikomu, z wyjątkiem mojego gospodarza, nie wierzę! Parobek, który nas będzie prowadził, odrazu pozna, dokąd zdążamy. Może uciec i za flaszkę wódki uprzedzić zbrodniarzy o naszych zamiarach. Lepiej więc spuścić się na swoje własne siły...

Żandarmi przyznali słuszność temu zapatrywaniu i po półgodzinnym spoczynku, pociągnąwszy trochę wódki z manierek, wyszli wraz z Włodzimierzem na podwórko i skierowali się ku szopie. Po chwili, uzbrojeni w karabiny i ślepe latarki, stanęli w szeregu.

— Naprzód! — zakomenderował Włodzimierz i żwawym krokiem ruszył z miejsca. Za nim w niewielkich odstępach ruszyli żandarmi. Brama folwarku zamknęła się cicho za ostatnim żandarmem i stary wieśniak, potrząsając głową, powrócił do izby. Jego żona, drżąca i zapłakana, wsunęła się za nim i z trwogą pytała, czego tu chcieli żandarmi i dlaczego nikomu nie było wolno wchodzić do izby, w której się naradzali.

Stary wieśniak wzruszył ramionami. On sam dobrze nie wiedział, o co chodziło żandarmom, choć musiał domyślać się czegoś, bo gdy żona ponowiła pytanie, odpowiedział półgłosem:

— Nie wiem. Ale kto wie, czy oni nie polują na Wasyla Lubasza i tego zbója Iwana Trepowa!...

Tymczasem żandarmi stanęli na skraju lasu. Włodzimierz, mimo śnieżycy, szedł pewnym krokiem. Pamiętał dobrze tę drogę, którą niedawno przebył z takim wysiłkiem, ścigany przez Iwana, w ciągłej trwodze, aby nie dosięgnęła go kula zbrodniarza.

— Tędy, koło tego krzaka! — szepnął i szedł śmiało przodem. a żandarmi postępowali za nim w głębokiem milczeniu. Wiedzieli oni dobrze, że chodzi tu o aresztowanie dwóch nader niebezpiecznych złoczyńców, ale nie domyślali się nawet, że ci złoczyńcy ukrywają się w gospodzie na pustkowiu, nie mieli pojęcia, jakim sposobem mordowali oni swoje ofiary... Włodzimierz ani słówkiem nie wspomniał im o tem.

Już pół godziny posuwali się lasem w głuchem milczeniu. Czasami Włodzimierz stawał i dawał znak. Wówczas błyskało światło ślepej latarki. Detektyw oryentował się w położeniu drzew i szedł dalej. Według jego obliczenia szli dobrze i nie byli już daleko od gospody.

I znów upłynęło pół godziny, a oni szli bez przestanku. Dreszcz przeszedł Włodzimierza; zdawało mu się już, że zmylił drogę, gdy w tem zdala wśród drzew ujrzał małe światełko. Odetchnął pełną piersią, stanął i dał znak żandarmom. Ci pospieszyli ku niemu.

— Stoimy już przed gospodą! — szepnął — jeszcze tych kilka krzaków i już jesteśmy na polance, a teraz...

Więcej gestami niż szeptem wydał rozkazy. Dwóch żandarmów odłączyło się i każdy w innej stronie znikł wśród gęstwiny. Włodzimierz dobrze postanowił pilnować, żeby mu zbrodniarze nie uciekli. Rozstawiwszy rezerwowe posterunki, sam z pozostałymi dwoma żandarmami powoli zaczął skradać się ku gospodzie.

Wyszedłszy na polankę, zatrzymali się. W gospodzie była cisza, ale przez przysłonięte okna widać było światło. Widocznie mieszkańcy nie spali. Ale czy czuwają? czy istotnie zabarykadowali się i teraz z ukrycia przyjmą napastników kulami?

Włodzimierz namyślał się chwilę. Najlepiej byłoby obejść gospodę i z boku podejść cichaczem pod bramę. Po chwili jednak powziął inne postanowienie.

Szepnął parę słów towarzyszom i sam ruszył wprost do bramy gospody. Żandarmi postępowali za nim w pewnem oddaleniu, a gdy Włodzimierz stanął przed bramą, jeden przylgnął do ściany z prawej, a drugi z lewej strony...

Detektyw nadsłuchiwał chwilę, potem sięgnął ręką do kieszeni, a przekonawszy się, że ma w niej rewolwer, zaczął pięścią walić w drzwi szynku.

Wewnątrz rozległ się dziki okrzyk. Włodzimierz drgnął. Poznał głos starego Lubasza.

Dzika trwoga ogarnęła Włodzimierza. Dlaczego nie posłyszał głosu Wiery, lub krzyku tego Iwana? Czy może, zanim zdążył tu przybyć, rozegrała się już między mieszkańcami krwawa tragedya, której ofiarą padła biedna dziewczyna?...

W tej samej chwili doleciały go z wnętrza gospody ciężkie kroki; ktoś zbliżał się ku bramie, a równocześnie w izbie szynkownej rozległ się srebrny głosik Wiery:

— Kto tam? co tam? — odezwał się drżący głos Lubasza.

— Otworzyć! — odpowiedział krótko Włodzimierz.

I znów nastała cisza. Młody detektyw wyobrażał sobie scenę, jaka teraz rozgrywała się za drzwiami. Jeżeli Wasyl poznał głos jego, to pewnie z trwogi ruszyć się teraz nie może i oparty o bramę z osłupiałym wzrokiem — drży na myśl o szubienicy. Ale gdzie jest Wiera? co ona robi? Przecież ona powinna się domyślać, kto stoi przed gospodą! A co ona musiała przecierpieć do tej chwili? Pewnie Iwan, wróciwszy z pościgu, chwalił się tem, że jego kule dosięgnęły Włodzimierza. Czy uwierzyła mu, czy nie, to stan takiej niepewności musiał ją srodze przygnębić. Bo jeśli Włodzimierz zginął naprawdę, to i ona straciła nadzieję, że uwolni się kiedyś od natrętnego zbrodniarza... a jeśli Włodzimierzowi udało się uciec, to powróci, ale z żandarmami i wtedy jej ojca czeka straszna śmierć na haku!... Jakież męki musiała znosić biedna dziewczyna?!...

Włodzimierz ocknął się z zadumy i znów zaczął dobijać się do bramy.

— Radzę wam otworzyć, bo drzwi wywalę! — zawołał — otworzyć! Wzywam was do tego w imieniu jego imperatorskiej mości!...

Zabrzmiał zgrzyt odsuwanych rygli i klucz obrócił się w zamku. Włodzimierz kopnął silnie drzwi i jednym skokiem znalazł się w sieni, gdzie stał Wasyl Lubasz blady, drżący, patrząc błędnym wzrokiem na przybyłego.

— Wasza miłość — jąkał się starzec — czego wy chcecie odemnie?

— Znacie mnie chyba dobrze, Wasylu Lubasz! — rzekł groźnie Włodzimierz, spoglądając w stronę szynkowni, gdzie w progu, oparta o futrynę, chwiała się pobladła ze strachu Wiera, która na widok Włodzimierza zasłoniła twarz rękoma i wybuchła cichym płaczem, czując, że wszystko skończone, że dla jej ojca niema już ratunku.

Wasyl Lubasz próbował się bronić.

— Znam was wasza miłość?!... A może widziałem was kiedy w Petersburgu! Ale czego wy chcecie odemnie?!...

Za bramą rozległ się cichy szmer, przypominający stąpanie. Lubasz drgnął i już chciał się cofnąć, gdy Włodzimierz gwizdnął przeciągle i równocześnie uchwycił go za bary.

— Aresztuję cię, morderco Borysa Jaroszyna! — krzyknął — poddaj się bez oporu!...

Starzec z dzikim, przeraźliwym krzykiem rzucił się na detektywa, lecz równocześnie przez bramę wpadło dwóch żandarmów i jak w żelazne kleszcze pochwycili go w swe ramiona. Wywiązała się straszna walka. Wściekłość i rozpacz zdwoiły siły Lubasza; bronił się jak szalony, kopał, kąsał ręce żandarmów, ale i im nie brakowało sił wcale. Po chwili Lubasz leżał już na ziemi. Jeden z żandarmów klęczał mu na piersiach, gdy tymczasem drugi, dobywszy mocnego łańcucha, kuł mu ręce i nogi.

Włodzimierz z pobladłą twarzą przypatrywał się tej scenie, a potem rzucił okiem do szynkowni. Wiera, padłszy na ławę, łkała głośno, ukrywszy twarz w dłoniach, żeby uniknąć tego strasznego widoku. Młody detektyw uczuł dziwny ból w sercu. Postąpił parę kroków i już chciał podejść do dziewczęcia. żeby mu szepnąć choć parę słów pociechy, gdy w komórce, przylegającej do szynkowni, rozległ się piekielny hałas, trzask łamanych drzwi i dzikie przekleństwa. Włodzimierz rzucił okiem na żandarmów, a widząc, że skończyli już

kuć starego Lubasza, skinął ręką i wszedł do szynkowni.

— Baczność! — krzyknął — przygotujcie się na ciężką walkę! Zły duch tego domu już nadchodzi!...

W drzwiach komórki ukazał się Iwan. Po ucieczce Włodzimierza w trunku wciąż szukał zapomnienia i teraz, upiwszy się, poszedł spać do swej nory. Dobijanie się Włodzimierza nie przebudziło go wcale. Dopiero dziki krzyk kutego w kajdany Lubasza, zwrócił jego uwagę. Otworzył oczy, ocknął się, natężył słuch i odrazu zrozumiał, co się dzieje. Jak leżał napół ubrany, tak zerwał się z pościeli i wybiegł z komórki, postanawiając drogo sprzedać swą wolność, walczyć — aż do upadłego.

Straszny był. Ubrany tylko w spodnie, przepasane zwykłym konopnym powrozem i w koszulę, roztwartą szeroko na piersiach, z wzburzonymi włosami i szeroko rozwartemi oczami, z których przebijała szalona rozpacz, stał chwilę w drzwiach, wykrzywiając do uśmiechu usta i pokazując potężne, jak u wilka, zębiska.

— Poddaj się! w imieniu prawa wzywam cię, abyś się poddał!... — krzyknął groźnie Włodzimierz.

Iwan spojrzał nań i teraz poznał dopiero, kogo ma przed sobą.

— Pomógł ci czort — mruknął chmurnie — mnie skrewił tamtej nocy... Gdzie jest stary Lubasz?...

— Tam leży, skuty już w kajdany! Poddaj się morderco!...

— Łotry! chcą nas uwięzić i powiesić potem na szubienicy! — zaskowyczał stary Wasyl. — Ratuj mnie Iwanie! ratuj mnie i siebie...

Tymczasem obaj żandarmi zbliżali się już do Iwana.

— Nie tak to łatwo ze mną pójdzie! — ryknął wściekle zbrodniarz — Iwan umie się bronić!...

Rewolwer błysnął w dłoni parobka, a z piersi Wiery wydarł się okrzyk trwogi i rozpaczy. Dziewczę, usłyszawszy głos Iwana, odjęło ręce od oczu i przestało płakać. W sercu jej zawrzała straszna walka. Tam skuty leżał jej ojciec, którego tak bądź co bądź kochała. Należało go ratować! To był jej obowiązek, jako córki! A tu Iwan wymierzył rewolwer w pierś Włodzimierza... Cóż miała czynić?

Miłość zwyciężyła przywiązanie dziecka.

Z krzykiem rozpaczy zerwała się z ławy i własnem ciałem zasłoniła Włodzimierza.

— Mnie zabij, a jemu nic nie rób!...

Młody detektyw ujął dziewczę za ręce i chciał je usunąć. Był pewny, że z dwoma żandarmami da Iwanowi radę; zaś parobczak, zobaczywszy tę scenę, zaśmiał się szatańsko i cofnął wstecz.

— To tak rzeczy stoją panienko! Więc to umówiona historya! No, czekaj! Ściele się nam droga do piekła, ale ty pierwsza jej spróbujesz!...

Żandarmi wyciągnęli już ręce, aby pochwycić zbrodniarza, gdy rozległ się huk dwóch wystrzałów. Jedna kula świsnęła Włodzimierzowi tuż koło ucha, druga trafiła Wierę. Dziewczę bez krzyku usunęło się na ziemię.

I znów huknął strzał. Iwan chciał zdruzgotać czaszkę jednemu z żandarmów, lecz uniesiony wściekłością chybił. W tej chwili drugi żandarm tak silnie uderzył kolbą parobka w rękę, że rewolwer wypadł mu z dłoni. Ale Iwan nie stracił przytomności. Zanim żandarmi zdołali doń przypaść, skoczył naprzód, jednego z nich potrącił tak silnie, że ten padł na podłogę, poczem z szalonym śmiechem wybiegł z szynkowni, zatrzaskując za sobą drzwi.

Żandarmi odrazu puścili się za nim w pogoń, ale nim wpadli do sieni, zbrodniarz był już na polu. Wypadli za nim; na polance nie było już nikogo!

— Ucieknie, jeśli go nasi nie zatrzymają! — krzyknął jeden z żandarmów — ten łotr musi znać las, jak własną kieszeń!

— Naprzód! — odpowiedział drugi i dobywszy świstawki, dał długi, przeciągły sygnał — naprzód! Bohdan da tam sobie bez nas radę. My musimy dostać tego zbrodniarza, lub przynajmniej trupa jego, bo zabity pies już nie kąsa!...

I obaj żandarmi biegiem puścili się w stronę lasu.

Tymczasem Włodzimierz pochylił się nad omdlałą Wierą, jak dziecko wziął ją na ręce i ułożył na własnem futrze, które rozścielił na ławie. A stary Lubasz, porzucony w kącie szynkowni, dźwignął się do połowy i przypatrywał bacznie, co robi młody detektyw z jego dziecięciem; starzec nie wiedział, czy Wiera już nie żyje, czy tylko jest zraniona, ale czuł dobrze, jak ciężko wobec niej zgrzeszył i łzy zaczęły mu spływać po zwiędłych policzkach.

Włodzimierz pochylił się nad ukochaną. Czy Iwan mógł tryumfować, czy istotnie zdołał zabić niewinną dziewczynę? To pytanie wirowało mu w głowie, gdy, rozpiąwszy kubraczek Wiery, drżącemi rękami szukał rany.

W jednem miejscu z szyi dziewczęcia sączył się mały strumyczek krwi. Włodzimierz znał się nieco na opatrunkach. Szybko więc zerwał chustkę z własnej szyi i zaczął przedewszystkiem tamować krew, płynącą z rany. Następnie skoczył do szynkowni, gdzie stała konewka z wodą i zabrał się do przemywania zranionego miejsca.

Po chwili westchnienie ulgi wydarło mu się z piersi. Zobaczył, że cała rana ograniczała się do lekkiego draśnięcia. Kula musnęła tylko szyję Wiery i pewnie utkwiła gdzieś w ścianie. Przestrach spowodował pewnie omdlenie dziewczęcia. Młody detektyw zgrabnie zabandażował ranę i powstał z ziemi. Wolał, żeby Wiera sama przyszła do siebie i żeby mógł uniknąć wszelkich tłómaczeń.

Weszli do szynkowni. Wiera leżała jeszcze bez czucia na ławce.

— Umarła?... — spytał poważnie żandarm, zdejmując czapkę z głowy.

— Nie, dzięki Bogu! Lekka rana, która się do tygodnia zagoi, a omdlenie przyszło prawdopodobnie z przestrachu. Ale co tam się stało w lesie?...

— Łotr wpadł wprost na nasze posterunki, ale połapał się zaraz i skręcił w bok! Mieliśmy więc polowanie z nagonką. Wzięliśmy go w cztery ognie i powoli zaczęliśmy zaciskać pierścień. Gdy zobaczył, że już nam nie ujdzie, wskoczył na wzgórek i krzyknął: „Pierwszemu, który do mnie się zbliży, wbiję ten nóż w serce!" My jednak równo postępowaliśmy dalej. Łotr poznał, że jest mu coraz ciaśniej i z dzikiem przekleństwem rzucił się w bok, właśnie tam, gdzie stał nasz Dymitr. Padł strzał. Czy kula trafiła, tego nie wiem, lecz zbrodniarz zwrócił się w inną stronę. Śnieg padał coraz gęściej, to też baliśmy się, żeby łotr nam nie umknął, więc, gdy tylko zamajaczyła nam jego sylwetka, daliśmy dwa strzały, a on bez jęku padł na ziemię. Powoli, bardzo ostrożnie, zbliżyliśmy się do niego. Przypuszczaliśmy, że się tylko przyczaił i że jeszcze któryś z nas może otrzymać z rąk jego krwawą pamiątkę. Ale, gdyśmy stanęli nad nim, już nie żył! Ja pospieszyłem tutaj, a oni niosą tam jego zwłoki.

— A więc zabity! — szepnął Włodzimierz — choć jemu pierwszemu należała się szubienica!..

Stary Lubasz słyszał dokładnie każde słowo żandarma, a i strzały w lesie obiły się o jego uszy. Co one znaczyły, wiedział dobrze. Iwan został jak dziki zwierz zastrzelony. On tylko sam został przy życiu, on sam będzie musiał ponieść straszną karę! Dreszcz wstrząsnął nim, gdy Włodzimierz zbliżył się w jego stronę.

— O czem ty dumasz teraz, Wasylu Lubasz? — zapytał z powagą detektyw.

Starzec spojrzał w kąt, gdzie leżała Wiera i jęknął rozpaczliwie:

— Weźcie mnie stąd! zabierzcie mnie stąd! róbcie ze mną, co chcecie, tylko niech się nie patrzę na moje dziecko.

Włodzimierz zwrócił się do żandarma.

— Zapal-no Szasza latarkę! I tak przed świtem nie opuścimy gospody, więc trzeba naszego więźnia ukryć gdzieś bezpiecznie.



Z krzykiem rozpaczy zerwała się z ławy i własnem ciałem zasłoniła Włodzimierza.

Wzrok jego padł na skutego Wasyla i przypomniał sobie Iwana.

Czy zbrodniarzowi udało się uciec? Zapewne, skoro dotychczas nie pokazał się jeszcze żaden z żandarmów. Może go jednak gonią jeszcze po lesie, ale czy go dopędzą, czy go odnajdą w tej zamieci?...

— Muszę pospieszyć im z pomocą! — szepnął Włodzimierz i nacisnąwszy czapkę na uszy, chciał już opuścić szynkownię, gdy tuż koło gospody rozległ się strzał. Włodzimierz zatrzymał się w pół drogi i słuchał uważnie.

— Mają go już w łapce! — pomyślał.

W tej chwili huknął drugi strzał, a potem trzeci i znów nastała cisza. Włodzimierz wybiegł przed gospodę i tu postanowił czekać na żandarmów. Po chwili dostrzegł jakiś cień, zbliżający się szybko ku niemu.

— Kto to? — krzyknął donośnym głosem.

— Ja! — odpowiedział mu znajomy głos żandarma — zbrodniarz jest już nieszkodliwy! Czy nie trzeba wam mojej pomocy?...

— Nie! chodźcie do gospody — odpowiedział Włodzimierz.

Żandarm zapalił latarkę i spojrzał pytająco na detektywa.

— No, Szasza! — rzekł Włodzimierz, ujmując starego Lubasza pod rękę — pomóż mi dźwignąć starego! Umieścimy go na noc w piwnicy.

I obaj podnieśli Wasyla, ale pokazało się, że skuto go tak silnie, iż jednego kroku sam zrobić nie mógł.

— Popuść mu, Szasza, łańcucha! On przecież teraz spokojny!

Istotnie stary Lubasz opadł zupełnie z sił i zachowywał się całkiem spokojnie. Chwilowy szał rozpaczy przeminął i zbrodniarz, zwiesiwszy głowę na piersi, spoglądał dokoła błędnym wzrokiem.

— Gdzie mnie prowadzicie? dokąd ja idę? — wyjąkał z przestrachem.

— Powoli! cierpliwości, a zobaczysz! — brzmiała odpowiedź.

Chwycili go silnie pod ramiona i poprowadzili, a raczej powlekli przez schody do piwnicy. Gdy już byli na ciemnym, wąskim korytarzyku, Włodzimierz wskazał dłonią przedział, który był pułapką i zakomenderował:

(Ciąg dalszy nastąpi).

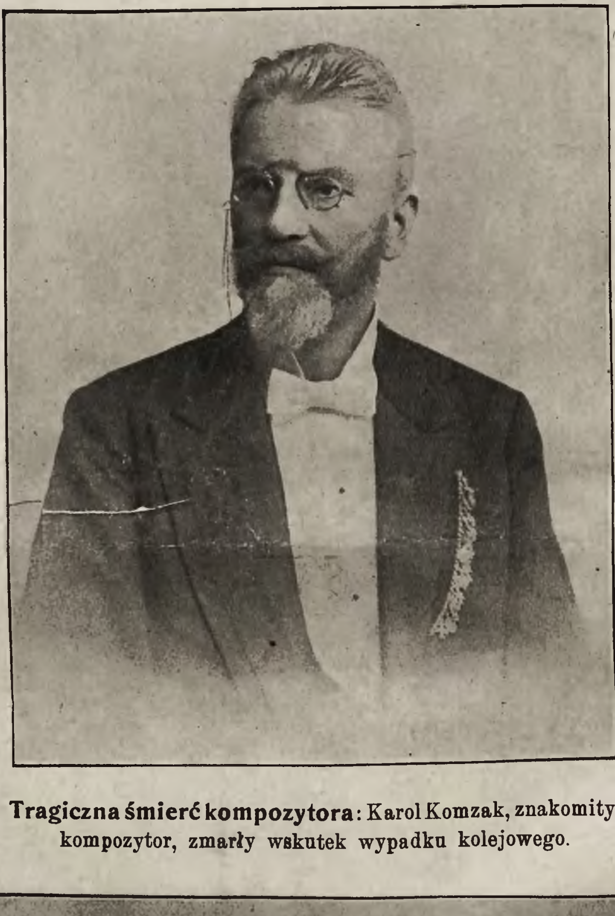


**Wiec szynkarzy we Lwowie**: Grupa uczestników wiecu z przewodniczącym, p. Krzysztofem Janowiczem, na czele.

## Popis w galicyjskiej szkole c. k. Straży skarb. w Sygniówce pod Lwowem.

Straż skarbowa była do niedawna jeszcze bardzo upośledzona i po macoszemu traktowana. Strażnik skarbowy – wyrażając się zaś urzędowym żargonem „finanswach“, rekrutował się zazwyczaj z umysłowego i moralnego proletaryatu. Władza nie wymagała prawie żadnych kwalifikacyi od niego. *Census* naukowy kandydata ograniczał się do umiejętności czytania, pisania i tabliczki mnożenia. Praktycznych zaś wiadomości nabywał „finanswach“ przez lata całe ciężkiej i żmudnej służby na urzędach cłowych, pograniczu państwa, w salinach, browarach, rafineryach lub fabrykach tytoniu i cygar. Wreszcie władze skarbowe przyszły do przekonania, że nawet dla niższych funkcyonaryuszy, jakimi są zbrojni stróże skarbu państwowego — niezbędny jest pewien stopień umysłowego wykształcenia i intelligencyi, która znakomicie ułatwia każdemu — pilne i dokładne spełnienie obowiązków.

Powodowany tymi względami, mającymi zarówno praktyczną jak ogólno-humanitarną doniosłość — założył w r. 1892 J. E. Witold Mora-Korytowski prezydent kraj. Dyrekcyi Skarbu we Lwowie — specyalną szkołę dla c. k. straży skarbowej w Sygniówce pod Lwowem. Jest to jedyny tego rodzaju zakład w Austryi. a dodatnie wyniki jego działalności – powinny wpłynąć na decydujące czynniki, by podobne szkoły przy każdej większej dyrekcyi skarbowej powstawały.



**Tragiczna śmierć kompozytora**: Karol Komzak, znakomity kompozytor, zmarły wskutek wypadku kolejowego.

Szkoła w Sygniówce pozostaje pod naczelnem kierownictwem p. Stanisława Waydy, b. nadporucznika wojsk austryackich, obecnie starszego komisarza straży skarbowej. Prócz niego pełnią funkcye nauczycieli pp.: sekretarz fabryki tytoniu Jakliński i starsi respicyenci: Wł. Czerkawski, St. Bajewski i Józef Ziółkowski — wyznaczeni przez władze z najzdolniejszych funkcyonaryuszów skarbowych.

Porządek w szkole, rygor i dyscyplina czysto wojskowe, podobnie i komenda niemiecka, polskim tylko jest w szkole język wykładowy. Prócz potrzebnych do zawodu przedmiotów wykładaną jest nauka religii przez czcigodnego ks. Tylko, zarazem kapelana zakładu. Uprawiane są również ćwiczenia gimnastyczne według teoryi szwedzkiej.

W dniu 15 kwietnia odbył się w szkole doroczny egzamin i popis wobec grona nauczycielskiego i komisyi egzaminacyjnej w skład której weszli: J. E. namiestnik Galicyi Dr. Andrzej hr. Potocki, J. E. Dr. Witold Mora-Korytowski wiceprezydent kraj. dyrekcyi Skarbu, St. Prokopowicz starszy radca skarbowy, Fr. Radzikowski inspektor straży, i ks. Tylko katecheta szkolny. Egzamin wypadł nader pomyślnie, a o pożyteczności jego świad-



Fot. „Kordyan“. Lwów.

**Popis w galicyjskiej szkole c. k. Straży skarbowej w Sygniówce pod Lwowem**: Korpus straży skarbowej w szkole w Sygniówce wraz z komisyą egzaminacyjną. I. Radzikowski, nadinsp. str. sk. II. St. Prokopowicz, nadradca sk. III. J. E. hr. A. Potocki, namiestnik. IV. Witold Mora-Korytowski, wicepr. kraj. Dyr. sk. V. Ks. Tylko, katecheta zakładu VI. Wayda, kierownik szkoły.

czy wymownie, że od r. 1892 opuściło mury jego przeszło 2000 uzdolnionych, wyszkolonych i inteligentnych funkcyonaryuszów straży skarbowej.

## Tragiczna śmierć kompozytora.

Jednym z najpopularniejszych i najbardziej lubianych obok nieżyjących dziś wiedeńskich kompozytorów Lannera i Straussa — był Karol Komzak. Walcami i polkami jego rozbrzmiewał cały Wiedeń, wszystkie orkiestry, *varietée*, kataryniki nawet utrwalały w uchu wiedeńczyka jego utwory. Słusznie nazywany spadkobiercą Jana Straussa, owego nieśmiertelnego króla walców — odznaczał się po za tem Komzak niezrównanym humorem i tą prawdziwą wiedeńską serdecznością, które umiał zaklinać w dźwięki popularnych swych piosnek.

Jakżeż smutnym był koniec tego wesołego człowieka! Karol Komzak przedsięwziął w Wiedniu w samą niedzielę świąt wiekanocnych małą zamiejską wycieczkę w gronie swych przyjaciół i wielbicieli talentu. Punktem wyjazdu był Baden. Gdy całe wesołe towarzystwo usadowiło się już w wagonach, Komzak spostrzegł jednego z swych znajomych i wysiadłszy na peron wdał się z nim w pogawędkę. W tem lokomotywa gwiżdże — Komzak uścisnął dłoń przyjaciela i pobiegł pędem za odchodzącym pociągiem, usiłując wskoczyć do swego przedziału. Nagle nieludzki krzyk rozległ się z pod kół wagonu. Wstrzymano natychmiast pociąg — niestety! — za późno! Z szyn podniesiono już tylko strasznie oszpeconego trupa. Koła obcięły Komzakowi obie ręce i nogi.

Śmierć Komzaka okryła niekłamaną żałobą cały wesoły Wiedeń, całą niemal Europę, a z nią i nas Polaków. Komzak bowiem, jako Czech, był nietylko naszym pobratymcem, ale miał wyjątkową sympatyę dla naszego narodu. Zaproszony zeszłego roku przez zarząd Filharmonii warszawskiej — bawił dłuższy czas w dawnej stolicy Polski i poświęcił jej nawet kilka pięknych kompozycyi. Karol Komzak urodził się w r. 1850, w Pradze czeskiej i po muzycznych studyach objął posadę dyrektora teatralnej orkiestry w Lincu. W r. 1871 został mianowany kapelmistrzem 7 pułku piechoty w Insbrucku. Do r. 1892 był kapelmistrzem 85 pułku piechoty — a śmiało rzec można, że był jednym z najpopularniejszych osobistości w muzycznym świecie Wiednia.

W numerze niniejszym podajemy podobiznę znakomitego kompozytora.

## Henryk Sienkiewicz w zakładzie „Św. Rodziny" w Krakowie.

Jakie znaczenie dla przyszłości narodu ma wychowanie młodzieży, o tem chyba pisać nie trzeba. Dość wspomnieć, że wychowawcy to jakby rzeźbiarze, którzy dusze młode kształtują, hartując je na dalsze życie, urabiając i wlewając w nie siłę, tak potrzebną do walki w życiu. Siłą, która w życiu stanowi puklerz obronny przeciw wszelkiego rodzaju przeciwnościom, siłą, dającą męstwo i hart, jest wiara, nie fanatyczna, ale wiara szczera, prawdziwa, wiara, będąca wynikiem wewnętrznej potrzeby serca i rozumu. I tylko chrześcijańskie, na zasadach Chrystusowej religii oparte wychowanie, potrafi nam przysporzyć w przyszłości zastępy silnych ludzi, idących w życie z podniesionem czołem, ludzi, których nie ugną burze, ale którzy pójdą zwycięsko naprzód, przynosząc pożytek nietylko narodowi, z którego wyszli, ale ludzkości całej. Dziś zwłaszcza i u nas przedewszystkiem, chrześcijańskie wychowanie ma szczególnie ważne znaczenie. Dzisiaj, kiedy tysiące młodzieży błąka się po bezdrożach niewiary, tracąc siły i ochotę do życia, dzisiaj przedewszystkiem powinniśmy dbać o dobre, chrześcijańskie wychowanie, pomni tego, że wiara chrześcijańska jest tem ogniwem, które wpaja w nasz naród poczucie jedności i siły; a tego poczucia nam potrzeba, jeżeli nie chcemy, byśmy za kilkadziesiąt lat nie stali się narodem umarłym, żyjącym tylko w historyi i pieśni.

„Wszystkie systematy filozoficzne przemijają, a msza się po dziś dzień odprawia" — powiedział w jednem ze swych dzieł Sienkienkiecz, zdający sobie dobrze sprawę z tego, czego nam, Polakom, najbardziej potrzeba. To też, przybywszy do Krakowa, Sienkiewicz z radością przyjął zaproszenie zwiedzenia w Krakowie zakładu wychowawczego, prowadzonego wzorowo i po chrześcijańsku, a mianowicie zakładu „Świętej Rodziny", zostającego pod kierownictwem dostojnego kapłana, ks. Zbyszewskiego. W piątek, dnia 28 marca, o godzinie 3 po południu, przybył genialny autor Frylogii wraz z swą małżonką do zakładu „Św. Rodziny", powitany przez grono nauczycielek i uczenic, z których jedna wręczyła p. Sienkiewiczowej wspaniały bukiet, poczem zwiedził szczegółowo sale, klasy i kaplicę, wyrażając szczere uznanie dla pracy ks. Zbyszewskiego i pań nauczycielek.

Gości oprowadzał po zakładzie założyciel i prezes ks. Leon Zbyszewski, wraz z sekretarzem stow. p. Józefem Błotnickim i dyrektorem tamtejszego seminaryum p. Gebhardtem. Uczennice przyjęły gości w pięknie przystrojonej sali śpiewem „Niech żyją nam". Na przemówienie p. dyrektora Gebhardta i uczennicy panny Piotrowskiej, podniósł Sienkiewicz zasługi założyciela ks. Zbyszewskiego, a „dzieweczki polskie", jak się wyraził, zachęcał do gorliwej pracy, zwłaszcza uczennice seminaryum, którym przypomniał, że cel, jaki sobie obrały, to jest kształcenie polskiej dziatwy, można nazwać najchwalebniejszym.

„Zakład św. Rodziny" mieści się przy ul. Pędzichów l. 17. Obejmuje on 4 klasy pospolite, 3 wydziałowe i seminaryum prywatne dla dziewcząt. Z uczennic część mieszka stale w zakładzie, w tak zwanym internacie, część zaś przychodzi tam tylko na naukę, opłacając za to pewną kwotę miesięcznie. Nauką kierują nauczycielki i profesorzy, zwracając przedewszystkiem uwagę na to, ażeby w młode dusze dziewczątek, przyszłych matek, wszczepić zasady chrześcijańskie, jakiemi się w życiu kierować mają, by spełnić ciążące na nich, jako na Polkach i matkach, obowiązki. Prócz tego w internacie mieszka 6 ubogich chłopców, utrzymywanych przez ks. Zbyszewskiego, kształcących się w gimnazyum Sobieskiego. Jest to zakład, mogący służyć za wzór zakładu wychowawczego, prowadzonego w duchu szczerze chrześcijańskim.

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografię uczenic zakładu „św. Rodziny" z Sienkiewiczem i żoną jego oraz ks. Zbyszewskim i gronem nauczycielek na czele. Fotografia zdjętą została na dziedzińcu zakładu.



**Henryk Sienkiewiez w zakładzie „Sw. Rodziny" w Krakowie:** Grupa wychowanek zakładu „Św. Rodziny" z Sienkiewiczem i jego żoną oraz ks. Zbyszewskim w pośrodku.



## Ze świata

(Pan Wincenty funduje. — Dwa „K“ w kieliszkach i jedno „K“ na talerzyku. – Zawód p. Wincentego. – Małżeństwo aktorki. — List Ilki Palmay. – Towarzystwo dla poprawienia rasy ludzkiej. – Poprawa rasy jako kwestya chleba.)

— Sługa złotego dobrodzieja!

Te wyrazy zabrzmiały mi w uchu, jakby wyrzucone z potężnej tuby okrętowej. Sądziłem, że nie są do mnie zwrócone, więc nie oglądając się, szedłem dalej, gdy nagle wsunął ktoś rękę pod moje ramię i znowu zawołał:

— Sługa złotego dobrodzieja!

– Dzień dobry – odpowiedziałem.

Byłem bardzo zdziwiony tą konfidencyą pana Wincentego, który mnie często widywał w kawiarni lub handelku, ale nigdy się nie zbliżał do mnie. Nie potrzebował mnie, a, jak wiadomo, w Krakowie nie wdajemy się z tymi, których nie potrzebujemy. To też, ujrzawszy koło siebie pana Wincentego, zadałem sobie zaraz pytanie: „Do czego ten człowiek potrzebuje mnie dzisiaj?“ Ale pan Wincenty sprawił mi drugą niespodziankę, wielce zagadkową, kiedy rzekł do mnie tonem, jak aksamit miękkim:

— Trzeba przepłukać gardło i coś przetrącić. Chodźmy pod *„palmę“*.

Nie miałem ochoty iść na „przepłukanie“ gardła zwłaszcza z panem Wincentym, człowiekiem wcale nie zabawnym, ale zwyciężyła ciekawość. Poszedłem do Hawełki, ażeby się dowiedzieć, jaki interes natchnął pana Wincentego taką miłością do mojej osoby.

— Dwa „K“ w kieliszkach i jedno „K“ na talerzyku — zawołał p. Wincenty, gdyśmy stanęli przy bufecie. Notabene owo „K“ nie było jego wynalazkiem. Wypiwszy koniak i spożywszy kawior przy bufecie, przeszliśmy do sali, ażeby tam spożyć właściwe śniadanie. I nie ma co mówić: pan Wincenty mimo przysłowiowego węża w kieszeni, był dobrym amfitryonem. Kusił mnie do picia i jedzenia, jakgdyby od tego zależało jego zbawienie.

— Dobre wino? — zapytał.

— Pyszne — odrzekłem, chociaż nie jestem znawcą win.

— Jeszcze jedną butelkę! – zawołał p. Wincenty.

Przy drugiej butelce p. Wincenty zaczął mówić o zbliżających się wyborach do Rady miejskiej. Stał się nagle nadzwyczajnie wymownym i dbałym o dobro miasta. Tak dbałym, że postanowił kandydować do Rady miejskiej.

— Potrzeba nowych sił wobec nowych zadań — prawił z zapałem. — Postanowiłem starać się o mandat radziecki, ponieważ mam przekonanie, że mogę być miastu pożytecznym.

— Szczęść Boże! — odrzekłem, ażeby tylko coś powiedzieć.

Rozmowa urwała się. Pan Wincenty umaczał usta w kieliszku, a potem zapytał, nachyliwszy się ku mnie:

— A dobrodziej na kogo głosuje?

— Ja nie posiadam prawa głosowania — odpowiedziałem, uśmiechając się skromnie.

— Ta-ak? — zawołał pan Wincenty i stał się nagle tak osowiałym, jak pogorzelec.

— Mieszkam od roku w Dębnikach, więc tam głosuję — mówiłem dalej.

– Płacić! – ryknął p. Wincenty.

Zapłacił kilkanaście koron, a potem rzekł do mnie:

— Przepraszam, że tak nagle uciekam, ale mam pilny interes, o którym zapomniałem.

Wyleciał z sali rozgniewany, a ja, zebrawszy kilku znajomych, opowiedziałem im o chybionych zabiegach jego o mój głos, mający walor tylko w Dębnikach.

Od wyborów przejść można odrazu do spraw aktorskich, gdyż wybory krakowskie są zazwyczaj komedyą. Z dawien dawna ludzie, nie zajmujący się zresztą teatrem, roztrząsają kwestyę, czy aktorka może być dobrą żoną, gospodynią domu i matką. Rozpisywano na ten temat ankiety, a odpowiedzi brzmiały mniej więcej w połowie twierdząco, a w połowie przecząco. Nawet aktorki nie dawały jednakich odpowiedzi. Jedne zapewniały, że zawód sceniczny nie przeszkadza kobiecie w spełnianiu obowiązków żony, matki i pani domu, że Hedda Gabler, powróciwszy ze sceny do domu, przyszywać może mężowi guziki do kamizelki, co, jak mawiał ś. p. Bałucki, należy do obowiązków żony. Drugie natomiast energicznie sprzeciwiały się temu, ażeby aktorki zawierały śluby małżeńskie. Te drugie twierdziły, że aktorka może być jeszcze dobrą żoną, ale na zajmowanie się gospodarstwem nie ma czasu. Nie ma zresztą wogóle powołania do tego rodzaju „filisterskich“ obowiązków i choćby nawet przymusiła się do nich wysiłkiem woli, to albo stanie się nieszczęśliwą na całe życie, albo zerwie więzy, które krępują artystyczne jej aspiracye. Nawet, gdyby wyrzekła się sceny, to i tak pozostanie jej wieczna tęsknota i uczucie zawiedzionych nadziei.



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.
**Antonina Ogińska.**

Kto ma słuszność? Czy ja wiem? Trzebaby czynić studya nad małżeństwem pożyciem aktorek. Nie mam do tego sposobności, ale natomiast przytaczam sprawę Ilki Palmay, słynnej aktorki węgierskiej, która niedawno wyszła za mąż za hr. Eugeniusza Kinsky'ego. Dzienniki budapeszteńskie i wiedeńskie podają list, pisany przez Ilkę Palmay do jednego z jej przyjaciół, a donoszący, że była aktorka chce powrócić koniecznie na scenę.

„Nareszcie — pisze Ilka Palmay — ziszczą się moje plany, o których mówiłam podczas mojego ostatniego pobytu w Budapeszcie. Będę znowu wolną. Mój mąż, który dla mnie zawsze był dobrym i teraz długo usiłował odwieść mnie od powziętego zamiaru, rozchodzi się ze mną w zupełnej zgodzie, a ja również chcę w spokoju przeprowadzić rozwód. Niema gniewu między nami. Widzę poprostu po upływie długiego czasu, że etykietalne, trzymające się formułek życie arystokratów, nie jest dla mnie. W żyłach moich krąży krew czerwona, ognista, węgierska krew. Ta krew pędzi mnie z powrotem na scenę i daremniebym próbowała ten popęd zwalczać. Nie mogę mej tęsknoty stłumić i muszę ustąpić przed olbrzymią namiętnością, która gra we mnie. Próbowałam wszystkiego. Usunęłam się w zacisze naszych dóbr w Karyntyi, próbowałam, jako arystokratka, żyć w Wiedniu, ale koniec był zawsze ten, że mnie ciągnęło do sceny, że do niej często wracałam. Mąż mój jest arystokratą i zawsze uważał to za niestosowne, gdy występowałam na scenie. Skutkiem tego między nami powstawały nieporozumienia. On mojej tęsknoty nie może zrozumieć i skutkiem tego również i mnie zrozumieć nie może.“

Tak pisze Ilka Palmay. Jak się zdaje, aktorka nie uczuwa w domu tych więzów, które na nią nakłada małżeństwo z nieaktorem. Aktor zrozumie aspiracye swej żony aktorki, inny człowiek zazwyczaj upatruje wadę tam, gdzie żona jego aktorka widzi zalety. Powiadają ludzie, że aktorzy, artyści i literaci nie powinni się żenić. Czy to prawda? Niedobrane małżeństwa są we wszystkich sferach i zawodach.

Pomówmy z kolei o małżeństwach. Jak donosi „Temps“, pewien inżynier w Bordeaux, nazwiskiem Alfred Pichon, człowiek zresztą poważny, celem poprawy rasy ludzkiej założył specyalne towarzystwo. Nie śmiej się czytelniku *„honny soit, qui mal y pense“*. Pan Pichon pod nazwą *„L'Elite“* zakłada stowarzyszenie, którego członkami zostać mogą tylko ci mężczyźni i te kobiety, którym rada nadzorcza wyda świadectwo piękności, a lekarze świadectwo zdrowia. Członkowie i członkinie tego stowarzyszenia mają obowiązek tylko pomiędzy sobą zawierać małżeństwa, a p. Pichon sądzi, że w ten sposób pięknem i zdrowem potomstwem członków *„Elity“* poprawi rasę ludzką. Niestety, we Francyi z dawien dawna panuje zwyczaj, że małżeństwa nie chcą mieć wcale dzieci, albo conajwięcej dwoje, gdyby więc towarzystwo Pichona liczyło nawet bardzo wielu członków, skutek byłby niewielki z tej utopii.

Poprawić rasę ludzką mogą tylko ulepszone warunki bytu. Gdyby ludzie pracowali nie tak ciężko, gdyby odżywiali się lepiej i mieszkali również lepiej, to nie mielibyśmy tyle dzieci anemicznych, rachitycznych i t. p. Kwestya chleba jest kwestyą piękności i zdrowia rasy ludzkiej. *K. e.*

## Antonina Ogińska.

*Rara avis* na scenie, choć młoda, a utalentowana artystka. U nas już tak bywa...

Jest uczenicą szkoły dramatycznej Deryngа z Warszawy. Kształciła się na naiwną, bo ten rodzaj odpowiadał jej najlepiej... Ale po naszych teatrach jest za dużo naiwnych, o wiele starszych... więc i pani Ogińska miała nie mało konkurencyi...

Pamiętam jej pierwszy występ w teatrze im. Al. hr. Fredry w Stanisławowie. Grała w „Broni niewieściej“. To był debiut, po którym ówczesny dyrektor p. Wład. Antoniewski zaangażował tę „perełkę sceniczną“ na stałe... Niestety, cały teatr nie mógł być stałym... I pani Ogińska powędrowała do Poznania, gdzie przez jakiś czas grywała z takiem powodzeniem, że mogła stamtąd już bez trudności otrzymać stałe *engagement* do Lwowa za dyrekcyi Hellera.

We Lwowie podoba się, grywa często i coraz lepiej, a w r. 1900 wraz z innymi przechodzi pod opiekuńcze rządy p. Pawlikowskiego. Jest tu dotąd, chociaż, jak powiedziałem, na scenie widzi się ją dość rzadko. A szkoda...

Pani Ogińska ma bezsprzecznie duży talent nie tyle może do naiwnych w guście talentu panny Jankowskiej, ile do ról lirycznych, nawet liryczno-naiwnych, jakich mamy dość nawet i w nowych dramatach. Jest przytem artystką bardzo... szanującą się i pojmującą swe zadanie poważnie. Dzięki temu każda jej rola czy rólka wypada zawsze poprawnie i sprawia miłe wrażenie.

Reżyserya ceni sobie panią Ogińską i szanuje, nawet bardzo ją szanuje... więcej, aniżeli sama żąda... A powinno się ją stanowczo częściej widzieć na scenie, bo bez mała w każdej sztuce znalazłoby się dla niej rolę...

*Exterieur* bardzo sympatyczne, głosik dźwięczny i miły, a wreszcie t. zw. nerw sceniczny składają się na wcale powabną i zdolną artystkę, która poszła na scenę nie dla zabicia czasu lub zrobienia interesu, ale poszła z popędu...

Poza tem bez pretensyi... Cicha, a skromna, nie stara się imponować toaletami, nie wypełnia swoimi „czynami“ kronik miejscowych dzienników, nie intryguje za kulisami, nie włazi nikomu w drogę... o, pardon...

Raz tylko wlazła w drogę, a raczej w oko dziennikarzowi tutejszemu p. Szenderowiczowi i to tak niebezpiecznie, że ten ożenił się przed kilku laty z p. Ogińską i tworzy z nią odtąd szczęśliwe stadło małżeńskie. *Kl.*

## Kącik humorystyczny.

### Przyjaciółki.

— Wyobraź sobie pani, ciotka moja cały swój majątek zapisała fundacyi dla starych panien.

— Widzi pani! A posądzałaś ją pani, że chce panią wydziedziczyć.



**Z wojny ros.-jap.**: Kawalerzyści japońscy, wysłani jako parlamentarze do obozu rosyjskiego, rozmawiają z Czerkiesami.

# Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Upłynęło już 15 miesięcy, odkąd nad państwem rosyjskiem zawisły ciężkie, czarne chmury, z których piorun za piorunem bił o gmach caratu, wstrząsając potężnie jego podstawami i oślepiając krwawej błyskawicy blaskiem przerażonych obrońców prawowiernego porządku. Pietnaście miesięcy upłynęło już, jak widoczną się stała dla wszystkich wewnętrzna zgnilizna i niemoc tego kolosu, przed którym drżał cały świat cywilizowany, który nad całą Europą rozpostarł swe opiekuńcze skrzydła, a pod temi skrzydłami bezpiecznie działały wszystkie puszczyki i zwiastuny nocy! Reakcya w Europie szła od wschodu na zachód i nawet tak liberalna, tak republikańska i radykalnie myśląca Francya nie umiała się wyzwolić z pod wpływów rosyjskich, dając się używać za narzędzie do utrzymania swymi kapitałami znienawidzonego przez lud rządu. Ta wolnomyślna Francya posunęła się nawet do tego, że kazała opuścić i wyjechać z granic republiki rewolucyonistom rosyjskim, jawnym wrogom caratu — a wszystko to robiła pod presyą wszechpotężnego absolutyzmu rosyjskiego. Każdy strzał armatni Japończyków przeczyszczał atmosferę Europy i pozwalał odetchnąć lżej wszystkim tym, którym niedźwiedzi pazur despotycznej Rosyi dał się we znaki! Każdy miesiąc rozkuwał ogniwa tych pęt, któremi okuto ludy, zamieszkujące Rosyę i pozwalał wierzyć w przyjście wiosny i w ukazanie się słońca z za ciemnych chmur, które zasnuły cały widnokrąg.

Dnia 1 maja zeszłego roku, generał Kuroki rozbił Rosyan nad rzeką Jalu i od tego zwycięskiego przemarszu wojsk japońskich przez Jalu, zwycięstwo za zwycięstwem odnosiły dzielne i bitne wojska japońskie nad wojskami carskiemi. Radosnem echem rozeszła się wieść o zwycięstwie Japończyków po całym świecie, a nawet społeczeństwo rosyjskie niedwuznacznie wcale dało zrozumieć rządowi, że i ono cieszy się z jego klęski! Każda następna wieść o nowych zwycięstwach armij marszałka Oyamy elektryzowała całe społeczeństwo rosyjskie i budziła otuchę i wiarę w siły, co było niejako równorzędnem z depresyą i zamieszaniem, jakie powstawały wśród czynownictwa rosyjskiego, które po każdej klęsce coraz bardziej nos spuszczało na kwintę. Dla wielu, bardzo wielu ludzi wydawało się rzeczą niezrozumiałą, że społeczeństwo rosyjskie cieszy się z klęsk armii rosyjskiej na Dalekim Wschodzie! A tymczasem był to i jest objaw zupełnie zrozumiały i nawet wprost konieczny, świadczący o tem, że społeczeństwo rosyjskie w swym pniu jest zdrowem i uczciwem, że gangrena nie dotarła jeszcze i nie zaraziła wszystkich sfer! Społeczeństwo rosyjskie wiedziało i czuło, że dobro wszystkich ludów, wchodzących w skład Rosyi, wymaga kompromitacyi tego rządu, którego celem było utrzymanie w niewoli i ciemnocie jak najszerszych mas, gdyż tylko taki stan zabezpieczał powodzenie tej rabunkowej i barbarzyńskiej polityce Azyatów. Społeczeństwo rosyjskie czuło, że trzeba jakiejś siły zewnętrznej, któraby zniewoliła rząd do wyzyskania wszystkich najbezwzględniejszych środków represyi, przemocy i bezprawia—gdyż tylko wtedy zupełnie nieuświadomione masy zdobędą się na odwagę i na czyn, oburzą się i staną w szeregach walczących o ludzkie prawa, o prawo do życia! Wojna dotychczasowa zrobiła swoje, skompromitowała rząd carski i rozbudziła w jaknajszerszych masach świadomość rewolucyjną, która jest dość silną, by wywalczyć i stworzyć dla narodu rosyjskiego inne, nowe warunki życia, któreby były prawdziwym wyrazem woli ludowej.

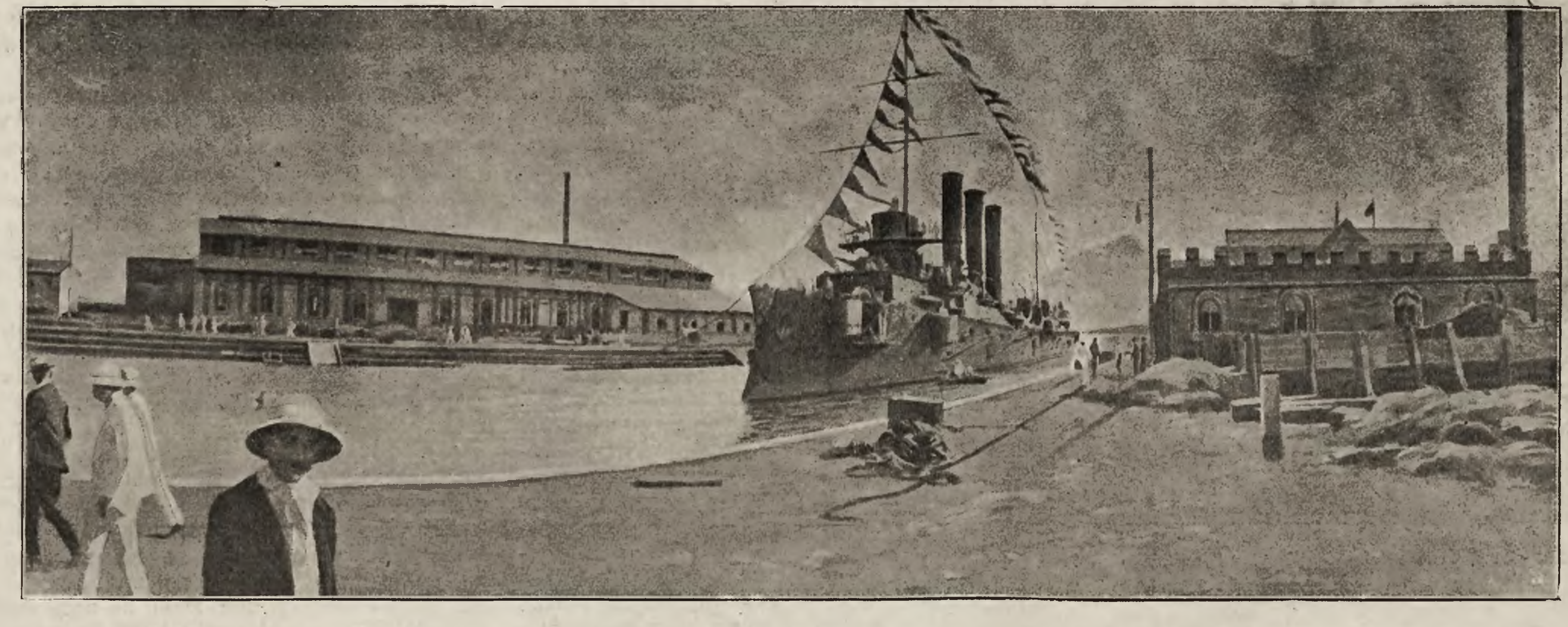
I dlatego dziś całe społeczeństwo rosyjskie musi domagać się zaprzestania prowadzenia wojny, która, wywołana nieudolną polityką rządu, przyniosła społeczeństwu nieobliczalne szkody i przyprawiła o stratę życia tysiące młodych i dzielnych ludzi, zmuszonych przemocą walczyć w imię interesów czynownictwa!

I dziś nie tai się społeczeństwo rosyjskie z tem, że z radością powitałoby klęskę eskadry Rożdiestwieńskiego! A powitałoby radośnie dlatego, że klęska na morzu tej eskadry, w której położone są wszystkie nadzieje caratu, oznaczałaby zwycięstwo woli narodowej, wobec której stałby rząd całkiem bezbronny i bezsilny! I na klęskę tę czekają wszyscy! czeka — możemy śmiało powiedzieć — cała Rosya!

Tymczasem eskadra Rożdiestwieńskiego w szyku bojowym czekała w *Kam-ran* przy wybrzeżu anamskiem. Wobec stanowczego stanowiska Francyi, która postanowiła nie pozwolić na dłuższy pobyt w *Kam-ranie* flocie rosyjskiej, Rożdiestwieński, który podobno nawet w tym kierunku otrzymał specyalne polecenie z Petersburga, postanowił opuścić niegościnną zatokę. Jak doniosły telegramy, stało się to na wyraźne polecenie samego cara Mikołaja II, który udzielił admirałowi Rożdiestwieńskiemu stosownego rozkazu. Stało się to na skutek żądań Francyi, która wysłała stanowcze noty do Petersburga w tej sprawie. Francya, która zupełnie inaczej pojmowała neutralność, wtedy, gdy pozwoliła eskadrze rosyjskiej przebywać przez 2 miesiące na wodach Madagaskaru, dziś wyprosiła grzecznie ale stanowczo Rożdiestwieńskiego ze swych portów przy wybrzeżu anamskiem, a uczyniła to na skutek żądań Japonii, będącej w ścisłym sojuszu z Anglią. Ten ostatni wzgląd wpłynął nie mało na zachowanie się Francyi! To też dyplomacya japońska, która grzecznie, ale z naciskiem przypomniała Francyi, jak należy przestrzegać neutralności, odniosła sukces niemały. Zdawało się wszystkim, iż Francya szyderczo przyjmie groźby prasy japońskiej, oburzonej parudniowym pobytem Rożdiestwieńskiego w *Kam-ran*, tymczasem inaczej oceniono noty dyplomatyczne Japonii w miarodajnych sferach fran-



**Z wojny rosyjsko-japońskiej**: Jeńcy rosyjscy w obozie japońskim.



**Z wojny rosyjsko-japońskiej**: Rosyjski krążownik „Dyana“ rozbrojony w Sajgonie.

cuskich. Żądania Japonii uwzględniono, a spełnienie ich jest wypadkiem znamiennym tembardziej, że nastąpić mogło za usilnem poparciem Anglii sprzymierzonej z Japonią, a będącej także w ścisłej przyjaźni z Francyą. Ten zwrot w polityce Francyi, która tym razem demonstracyjnie odmówiła gościnności okrętom rosyjskim, wskazuje na to, że dawna aliantka Rosyi, w nowem otoczeniu, zaczyna pomału zrywać te nici, które łączyły ją dotychczas z caratem. Minister spraw zewnętrznych Delcassé znalazł się w krytycznem położeniu w obec parlamentu francuskiego, który w dobitnych słowach przez usta kilku mówców dał mu do poznania, że stanowisko jego wobec ciągłego narażania Francyi przez nieścisłe przestrzeganie neutralności wobec stron wojujących jest mocno zachwiane.

Dnia 22 kwietnia opuścił Rożdiestwieński zatokę Kam-ran i odpłynął podobno w kierunku północnym. Przypuszczano, że flota rosyjska uda się do Nhatrang, to jest do zatoki położonej o kilkanaście kilometrów wyżej na północ — przy wybrzeżu anamskiem. Ale przypuszczenie to nie było na niczem oparte i wcale nieprawdopodobne wobec tego, że na pobyt floty w Nhatrang nie zgodziłaby się Francya, jak nie zgodziła się na pobyt w Kam-ranie. Inne wieści mówiły, że eskadra bałtycka uda się w stronę wyspy Hainan, należącej do Chin i zatokę tej wyspy obierze za podstawę operacyj i tam będzie czekać na flotę admirała Nebogatowa, z którym Rożdiestwieński chciałby się połączyć, by módz większą siłę przeciwstawić eskadrze japońskiej. W takim razie Japonia musiałaby przypomnąć Chinom obowiązek przestrzegania neutralności, a mogłaby to uczynić tem skuteczniej że wskutek nieznacznej odległości miałaby możność na wypadek nieopuszczenia przez Rosyan wód chińskich zaatakować natychmiast Rożdiestwieńskiego i na wodach chińskich sprowokować bitwę, czego zdaje się rosyjski wódz nie bardzo by sobie życzył! Wyspa Hainan należy do południowej części Chin. Oddzielona 15 kilometrową cieśniną od stałego lądu posiada doskonałe zatoki, które mogłyby służyć za wspaniałe schronisko dla floty rosyjskiej. Jest ona jedną z większych wysp, zamieszkałą bardzo gęsto przez przeszło 2 miliony ludzi i nader urodzajną. Główny port Hoihan znajduje się w odległości 7 kilometrów na północ od stolicy wyspy Kiungczu. Jako podstawa operacyjna byłaby Hainan wspaniałym punktem oparcia, leżący bowiem naprzeciw wysp Pescadores i Formozy, bę-



**Z wojny rosyjsko-japońskiej**: Ranny kapitan japoński kieruje dalej atakiem na pozycye rosyjskie.



**Z wojny rosyjsko-japońskiej:** Sztab oficerski generała Stössla w Porcie Artura, oddający się w niewolę Japończykom.

dących podstawą operacyjną admirała Togo. Z Hainan mógłby łatwo dostać się Rożdiestwieński przez Baszi-kanał na Ocean Spokojny i tu czekać na przybycie Nebogatowa, który w połowie maja może się zjawić na wodach południowo-chińskich. Ale musimy dodać do tego jedno, że wszystko są to przypuszczenia, a tymczasem admirał Togo popełniłby najfatalniejszy krok, gdyby zwlekał i nie uderzył na Rosyan, zanim eskadra Nebogatowa przybędzie Rożdiestwieńskiemu z pomocą. Nebogatow ma pod sobą 4 pancerniki, które wzmocniłyby niemało eskadrę Rożdiestwieńskiego.

Równocześnie doniosły dzienniki, że znajdujący się w Sajgonie rozbrojony krążownik „Dyana“, który schronił się do francuskiego portu po nieudałej wycieczce całej floty rosyjskiej z Portu Artura, gotuje się do odpłynięcia. Widocznem było, że Rożdiestwieński chciał w ten sposób powiększyć swą eskadrę o jeden krążownik, który stanowiłby niemałą siłę ze względu na to, że jest zbudowany niedawno i według najnowszej konstrukcyi. To też władze francuskie postanowiły czuwać nad tem, by do takiego złamania neutralności nie dopuścić, i aby przeszkodzić przeniesieniu się załogi „Dyany“ na pokład któregoś z okrętów eskadry Rożdiestwieńskiego, postanowiły codziennie wywoływać wszystkich żołnierzy z załogi „Dyany“. W Kanran eskadra rosyjska zaopatrzyła się należycie w zapasy węglowe i żywność. Wskutek nadmiernego zapotrzebowania, ceny środków żywności natychmiast podskoczyły w górę, tak, że za świnie i owce, które dawniej 9 piastrów kosztowały, płacili Rosyanie po 30.

Dla uzupełnienia wiadomości o flocie rosyjskiej musimy jeszcze dodać, że dzienniki i agencye podały wiadomość jakoby, Rożdiestwieński zachorował na dyzenteryę. Podobno obecnie admirał rosyjski powrócił już do zdrowia i osobiście dowodzi całą eskadrą.

* * *

W szeregu rycin, które podajemy w tym numerze, uderza swoją rodzajowością rycina przedstawiająca scenę w obozie japońskim, gdzie w niewoli znajdują się jeńcy rosyjscy. Z uśmiechniętych ich twarzy widać, że są uszczęśliwieni, iż po długich kłopotach dostali się wreszcie do niewoli. W otoczeniu serdecznych i gościnnych „Japańców“, częstując się papierosami i popijając z jednej flaszki, porozumiewając się znimi na migi, spędzają wolny czas, żałując, że nie mogą się wdać



**Z wojny rosyjsko-japońskiej:** Atak piechoty rosyjskiej pod Mukdenem.

z „kamratami“ w pogawędkę przy szklanicy. Jedna rycina przedstawia cały sztab oficerski Portu Artura z generałem Stoesslem i jego żoną w środku. Jest to ostatnie zdjęcie dokonane dla Stoessla, który po kapitulacyi twierdzy udawał się do Europy. Oficerowie, którzy szli do niewoli, ofiarowali swemu wodzowi na pamiątkę tę zbiorową fotografię.

Generał Stoessel, jak doniosły dzienniki, stanie tymi dniami przed sądem wojennym w Petersburgu. Nikt nie wątpi, że sąd wojenny wyda mu chlubne świadectwo i „obrońca“ twierdzy będzie nadal uchodzić za bohatera narodowego. Tymczasem szczegóły, które teraz z powrotem niektórych oficerów-kapitulantów do Europy wychodzą na jaw, wykazują, że kapitulacya była wprost skandaliczną, a Stoessel był zwykłym żołdakiem o ciasnym horyzoncie i tchórzliwem sercu. Jeden z oficerów opisuje w „Rusi“ ostatnie chwile twierdzy w następujący sposób:

„Nikt ani z oficerów, ani z żołnierzy nie przypuszczał, aby kapitulacya była tak bliską. To też gdy się wieść o kapitulacyi rozeszła, byliby żołnierze rozerwali Stoessla na sztuki, gdyby się był między nimi pokazał. Ale on nietylko, że w czasie oblężenia niezbyt często pokazywał się na wałach, ale nawet nie przyszedł pożegnać się z żołnierzami, idącymi do niewoli. Uczynił to generał Biełyj, to też żołnierze zachowali o nim wdzięczne wspomnienie. Stoessel troszczył się tylko o to, aby zapakowano i wywieziono jego rzeczy, poczem wsiadł na okręt i — tyle go widziano.

Sama kapitulacya była dla wszystkich niespodzianką. Ostateczności jeszcze nie było, ale teraz zaczynamy rzecz pojmować. Na 3 dni przed kapitulacyą zwołał Stoessel radę wojenną, na której sam nie był obecny, a w jego imieniu generał Reiss odczytał zebranym 16-tu wyższym oficerom memoryał, dowodzący konieczności kapitulacyi. Wobec tego, że Reiss był szefem sztabu i zaufanym Stoessla wiedzieliśmy, kto ten memoryał inspirował. Mimo to rada wojenna 14 głosami przeciw 2 (Reissa i pułkownika Szczęsnowicza) odrzuciła wniosek o poddanie się. Bajką jest, że tylko mała część załogi była zdolną do walki.

Na ogólną liczbę 30.000 jeńców oddzielili Japończycy tylko około 8000 chorych, a reszta o własnych siłach i jednym marszem przebyła 26 wiorstową drogę do Dalnego. Ludzie, którzy potrafili tak maszerować, byliby potrafili także walczyć. Także rzekomy brak amunicyi jest bajką. W dniu kapitulacyi mieliśmy jeszcze 70.000 nabojów armatnich różnego kalibru, które byłyby wystarczyły do odparcia dwóch szturmów; ponieważ zaś Japończycy szturmowali co 14 dni, mogliśmy się jeszcze bronić cały miesiąc.

Oprócz tego mieliśmy kilka milionów nabojów, karabinów i wielkie materyały do wyrobu granatów ręcznych, których Japończycy tak się bali. Jak dalece kapitulacya była niespodzianką, dowodzi fakt, że w przeddzień kapitulacyi ustawiono na wałach pięć nowych dział, a żołnierze nasi mówili: „Niech Japoszki spróbują tu przyjść, zaraz ich ugościmy“. Także i brak żywności nie dawał się zbytnio uczuwać.

Już po kapitulacyi dowiedzieliśmy się, że konsul nasz wysłał z Szangaju ogromny parowiec, naładowany różnymi zapasami do Portu, który też szczęśliwie przerwał blokadę i dotarł do Portu w tej chwili, gdy Japończycy zatykali swój sztandar. Mieliśmy w zapasie 45.000 pudów białej mąki, zapas sucharów na 21 dni, 3000 mułów i koni — dosyć choćby na miesiąc“,

Tak wygląda „bohaterstwo“ Stoessla w ustach naocznego świadka. Ale to wszystko nie przeszkadza mu wcale być nadal „bohaterem narodowym“.

## KRONIKA LWOWSKA.

Pierwszy Maja. — Święto policyi. — Regulamin dla stróżów. Proces Arnolda. — Historya pięknej pani. — Bezpieczeństwo publiczne we Lwowie. — Czyn bohaterów. — Najnowszy czyn skarbowy.

Tydzień ubiegły rozpoczęliśmy świętem robotniczem, które, jak co roku, obchodziła bardzo uroczyście tutejsza policya piesza i konna przy współudziale partyi robotniczej. Już wczesnym rankiem przystroiła się policya odświętnie i na ten jeden dzień dała nieograniczoną wolność i swobodę wszystkim tutejszym złodziejom i rzezimieszkom, którzy też zupełnie niekrępowani pracowali tego dnia sumiennie i bez przeszkód, żałując zarazem szczerze, że socyaliści tak rzadko obchodzą swoje uroczystości...

Już dawno nie widziano takiej harmonii i jednomyślności, jaka panowała w dzień 1 maja między robotnikami a policyą. Ramię do ramienia szli razem, wszędzie, gdzie widziałeś robotników, tam była i policya. Do uświetnienia pochodu przyczyniła się nie mało konna policya, także w paradzie na koniach „wyglancowanych“ odświętnie, i niektórzy urzędnicy policyi w mundurach. Aż serce rosło, gdy się widziało to wszystko, zwłaszcza, gdy się podziwiało niemy zachwyt policyi podczas choralnych pieśni rewolucyjnych. Osobna wzmianka pochlebna należy się całemu sztabowi ajentów, którzy wprawdzie bez odznak i mundurów, ale za to niemniej ciekawie przeciskali się przez tłumy, nastawiając bacznie uszy i żałując, że więcej uszu nie mają. Na specyalne wyróżnienie zasługuje ajent Günsberg za dzielne trzymanie kroku, co mu się przy jego tuszy w ostatnich czasach tylko rzadko udaje. Konie, znajdujące się pod policyantami, zachowały się z powagą, odpowiadającą ich stanowisku urzędowemu i nie zakłócały spokoju. Wogóle znać było obycie i otrzaskanie się z tą uroczystością, która od szeregu lat stała się nie tylko świętem roboczem, ale i świętem policyi. Odwdzięczając się za uświetnienie pochodu, zaprosili socyaliści policyę na zabawę ludową pod kopcem na Wysokim Zamku, gdzie wśród tańczących gości można było zauważyć z przyjemnością niejednego ajenta. Natomiast nieprawdą jest to, co rozgłaszają wrogowie policyi, jakoby jeden z komisarzy urżnął się na tej zabawie i oświadczył się jednej z uświadomionych robotnic.

Jeszcze przedtem mieliśmy trochę kłopotu z regulaminem dla stróżów. Ostatecznie i ich należało jakoś uregulować, a regulacyą ich zajęła się specyalna ankieta, która wypracowała statut i przedłożyła go magistratowi do zatwierdzenia.

Główną treścią regulaminu jest:

1) Urząd stróża składa się ze stróża, pani stróżowej i drobiazgu.

2) Obowiązkiem stróża jest uważać, ażeby lokatorowie utrzymywali czystość w kamienicy, na podwórzu, w kanałach, spiżarniach, strychach itd.

3) Stróżowa zastępuje stróża, gdy tenże jest urżnięty, lub czemś innem zajęty w mieście, domu lub gdzieindziej.

4) Ze wszystkiemi zażaleniami na stróża odnosić się mają lokatorowie do stróżowej i naodwrót. Podania wnosi się na piśmie bez stempla.

5) Stróż ma prawo każdemu lokatorowi z wyjątkiem właściciela kamienicy wypowiadać mieszkanie, podwyższać czynsz i nakładać nań grzywnę, o ile uważa to za stosowne — w zamian za co —

6) Lokator obowiązany jest płacić stróżowi noworoczne, datki na każde święto i opłacać szperę w następujący sposób:

7) Do godziny 11 płaci lokator 10 halerzy, a po 11-tej 20 halerzy; gdy jednak lokator z powodu twardego snu stróża zmuszony jest czekać dłużej, opłaca stróżowi za pierwszy kwadrans czekania 30 hal., za każdy następny 50 hal.

8) Opłata, rozumie się, od jednej osoby. Gdy stróż wpuszcza lub wypuszcza rodzinę, złożoną z więcej osób i dzieci, opłaca się za każdą głowę osobno, przyczem lokator musi pozwolić stróżowi przeliczyć, ile głów wchodzi lub wychodzi przez bramę. Nienormalnie duże głowy liczą się podwójnie.

9) Nawet gdy stróż ma podejrzenie, że lokator nie zapłaci mu szpery, musi bramę otworzyć. Wolno mu jednak w tym wypadku żądać zastawu ręcznego lub podpisania odpowiedniego dokumentu. Pretensye te są płatne i zaskarżalne nazajutrz,

10) Gdy stróż okłada stróżową kijami, obowiązkiem jest lokatorów pogodzić waśniących się i urządzić im ucztę składkową.

11) Wszelkie szkody, wyrządzone przez stróża mają wyrównać lokatorowie solidarnie, bez regresu do właściciela.

12) Za kradzież, popełnioną w kamienicy, odpowiada sprawca kradzieży, o ile nim nie jest sam stróż, lub stróżowa.

13) Stróżowi należy się raz na rok miesięczny urlop, w którym to czasie zastępuje go kolejno codziennie inny lokator.

Podałem główne ustępy świeżego regulaminu dla stróżów, ażebyście czemprędzej u siebie podobne wprowadzili. O błogich skutkach tej nowości pisać byłoby zbytecznem.

Tak samo byłoby zbytecznem pisać o procesie Arnolda za fałszerstwa wyborcze. Zdaniem bowiem najlepszych prawników we Lwowie zostanie pan Arnold w tym procesie z wszelką pewnością uwolnionym, albo zasądzonym. Pan Arnold wybrał to pierwsze bez wahania, chodzi więc teraz o to, co wybierze sąd. Gdyby pan Arnold przy głosowaniu sędziów nad wyrokiem mógł tak pomanipulować, jak to uczynił przy skrutynium wyborczem, z pewnością uniknęlibyśmy kryminału. Bo p. Arnold należy — nie chwaląc się — do tych ludzi, którzy lubią kozie mleko, ale — na wolnem powietrzu. Sędziowie powinni to uwzględnić, bo w tym wypadku poszedłby p. Arnold do kozy za miłość bliźniego.

A teraz inna ofiara „miłości bliźniego“. Żyje we Lwowie pewna piękna kobiecina, która wszystkie swoje powaby naturalne uważa za nic, jeśli ich nie przyobleka w równie piękne koronki i aplikacye... To też na ulicy robi imponujące wrażenie... ludzie baranieją po prostu z zachwytu. Ponieważ atoli takie różne „fatałaszki“ grubo kosztują, a p. Ferdynand Güttler za wszystko każe płacić, więc... długi, krótkie długi, ale długi długami, trzeba je płacić... Grożono już nawet listami od adwokatów, skargą, potem egzekucyą... Źle... Puszcza więc inserat w gazety... Młoda, a przystojna wdówka chce nawiązać korespondencyę z inteligentnym mężczyzną, dobrze sytuowanym itd... Przyszły listy... Jeden perfumowany... olśniewająco wonny. Ten ci to będzie!.. Idzie odpowiedź wprost z naznaczeniem schadzki... Schadzka... Odrazu podobali się sobie... Było mało czasu... Szczególnie jej zależało na pośpiechu... Ale jakże to odrazu zażądać... fe! Zwłaszcza, że zauważyła u niego obrączkę — co za nieostrożność... Rozeszli się i naznaczyli drugą schadzkę już na jutro... Nie mogło być inaczej... Tymczasem jutro zachorował autor wonnego listu i — przysłał zastępcę. Dziś i to się trafia... Ale kim był pan zastępca? Mąż? Nie... Brat? — To stare... Zastępcą był rodzony synalek owej pięknej pani, który właśnie zaczyna się wyrabiać... Było małe zakłopotanie... potem zaciemniające wyjaśnienie, a koroną wszystkiego: egzekucya mobilarna u pięknej pani w koronkach, która nie ma szczęścia w miłości, jako, że jest „leciwą“, choć niezaprzeczenie piękną...

Szkoda, żem w tem miejscu, gdzie pisałem o policyi, nie wspomniał o bezpieczeństwie publicznem we Lwowie. Na ten temat już trochę mówiono i pisano... To, że strzelają jedni drugim z rewolwerów i flobertów do okien — to głupstwo. Wprawdzie to nie bardzo przyjemnie siedzieć przy stole lub biurku i dostać w ucho lub w nos kulką flobertową, ale ostatecznie dużo się znosi dla spokoju sąsiedzkiego, więc dla miłej zgody i to znosimy dość chętnie zwłaszcza, że już przyzwyczailiśmy się do tego częstego sportu.

Taksamo i o tem już wiemy, że są pewni ludzie, którzy w nocy bez przeszkód napadają spóźnionych przechodniów, odbierają im niepotrzebny balast, jak zegarki, pierścionki i portmonetki i każą dziękować Bogu za uratowane życie. Oni z tego żyją, więc trudno komuś brać za złe, że ten, a nie inny obrał zawód. Ale o tem jeszcze nie słyszeliście zapewne, że ci, którzy przebierają się codziennie za ludzi inteligentnych, tj. złotawa młodzież, a nawet niektórzy panowie technicy, także potrafią zagrażać bezpieczeństwu ludzi, wprawdzie nie w celach zarobkowych, ale dla sportu. Bardzo zacny i poważny obywatel tutejszy p. Aschkenazy wracał do domu z rodziną, a kupka „inteligentnych“ młodzieńców (żaden nie był pijany) postanowiła zabawić się kosztem spokojnych ludzi. Oto jeden z „inteligentów“ tuż przed panem A. strzaskał olbrzymią flaszkę, raniąc jego i rodzinę stłuczonym szkłem, oczywiście bez żadnego powodu. Na spokojne zapytanie, dlaczego tak postępują, posypał się grad lasek, a następnie bójka. Nazwisk swoich „bohaterowie“ podać nie chcieli. Nie ma co mówić — honor górą! Bohaterowie staną przed sądem.

W ostatniej chwili dowiaduję się o nowym eksperymencie fiskalnym. Oto dyrekcya skarbu zauważyła, że niektórzy właściciele drobnych trafik jeszcze nie poumierali z głodu, więc na wszystkie prawie drobne trafiki nałożono podatek (tzw. zwrot zysków) w wysokości dwudziestokrotnej dotychczasowych opłat. Kto płacił 20 koron rocznie, płacić będzie 400 koron. Czy istnieje w świecie większa bezczelność skarbowa? Dzienniki o tem jeszcze nie wiedzą. *Klewe.*

### Z życiorysu wojskowego.

„Pierwsze ostrogi nieboszczyk zdobył w marynarce“.

## Antoni Kliszewski.

Aniby nawet nikt nie powiedział, patrząc na pana Antoniego, że za jedenaście lat będzie już pobierać emeryturę... A płaci już 19 lat, choć artystą jest lat dwadzieścia i kilka...

Młody, przystojny, przyzwoicie zaokrąglony, przypomina raczej obywatela, spożywającego *panem bene merentium*...

Rodem z Radomia w Królestwie. Gimnazyum tamże. Na scenie krakowskiej za Koźmiana. Grywa z bardzo wielkiem powodzeniem amantów i tu rozamorował się do tego stopnia, że nawet się ożenił z największą i najulubieńszą dziś artystką operetkową, słynną i nieocenioną Klisią.

Z Krakowa przybywa w roku 1891 do Lwowa, gdzie panowali pp. Schmidt i Szydłowski. Właśnie gdzieś w tym czasie ś. p. Lucyan Kwieciński założył w Stanisławowie stały teatr im. Al. hr. Fredry i nb. opuścił sam Lwów. Wtedy to pan Kliszewski objął po Kwiecińskim prawie cały jego bogaty repertuar, a więc przeważnie charakterystycznych amantów, młodych mężów francuskich i t. d. Był to eksperyment bądź co bądź dość ryzykowny, po takim Kwiecińskim, który należał do najlepszych artystów w całej Polsce, obejmować repertuar... A jednak pan Kliszewski miał tę odwagę, a wszystkie ówczesne recenzye chwalą pana Antoniego bardzo w każdej roli, a dość często zachwycają się jego grą... Tak grał rolę tytułową w Abrahamowicza „Mężu z grzeczności“, amanta w „Nerwowych“ i wszystkich amantów fredrowskich (jest wogóle aktorem fredrowskim) tudzież wiele wiele innych, a zawsze były oklaski, były bardzo pochlebne recenzye i lukę po ustąpieniu Kwiecińskiego wypełniał należycie, z powodzeniem. W tym czasie nie schodził z afisza i grywał stale amantów komicznych i lekkich za wszystkich dyrekcyj, jakie potem nastąpiły, a nawet jeszcze w pierwszych latach dyrekcyi Pawlikowskiego.



Antoni Kliszewski. Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

Ale... oczywiście, że jest jakieś „ale...“ I pan Kliszewski może już mówić o jakiemś „ale“.

Coś się tam zepsuło w królestwie kinkietów i szminek, gwiazda pana Kliszewskiego z powodów zewnętrznych zaczyna blednąć... Od lat kilku pomija się konsekwentnie tego zdolnego, a zasłużonego artystę przy obsadzaniu sztuk, nie tylko ze szkodą jego samego, ale nawet z uszczerbkiem dla ról, które zdają się jakby dla niego stworzone, a dostają się w ręce innych artystów, młodszych, bynajmniej nie więcej utalentowanych, a co najwyżej zasłużonych więcej sztuką... niskiego kłaniania się... Jeżeli u kogo, to u p. Pawlikowskiego nie to powinno być pobudką forytowania artystów i wierzę chętnie, że po uporaniu się z kłopotami administracyjnej natury, zwróci swe baczne, a tak czułe oko dyrektorskie, w stronę modelu niniejszej sylwetki...

Bo pan Kliszewski jest zdolnym i sumiennym artystą, potrafi i chce pracować, a sam dyrektor nieraz już nie szczędził mu słów prawdziwego uznania. Tak samo inni koledzy. Po nieboszczyku Romanie grał sędziego prowincyonalnego w sztuce Kisielewskiego „W sieci“, a grał bardzo dobrze. Wszyscy mu gratulowali.

W ogólności przechodzi obecnie z amantów do charakterystycznych, co jest dowodem wielostronności talentu, a tę należy wykorzystać. Jest to zadaniem reżyseryi nie usypiać artystów... a pan Kliszewski jeszcze nie śpiący. Człowiek w kwiecie sił i wieku, przy tym talencie potrafi jeszcze pracować...

Tylko, że p. Antoni sam zbytnio bierze sobie wszystko do serca, traci ufność w siebie, ociąga się i cofa z codziennego wiru, staje się pomału mizantropem — a to nie bardzo wskazane...

Rozchmórz więc czoło, panie Antoni, wszystko się zmieni na lepsze, dyrektor Pawlikowski setny chłop, artysta pierwszej wody, a zatem wie, co się artyście należy...

A za lat kilka urządzimy ci ćwierćwiekowy jubileusz, podczas którego nasz solenizant z wielkodusznym uśmiechem wspominać będzie tę pauzę artystyczną, a przytem rumienić się będzie, że ten, co obchodzi 25 lat pracy na scenie, tak lekkomyślnie młodo wygląda... *Ad multos annos...* *Klewe.*

---

GASTON CLOMNER.

# We własnej sieci.

**Współczesna powieść kryminalna.**

Z angielskiego przełożył **M. S.**

2 (Ciąg dalszy).

Stosownie do planu, jaki sobie ułożyli jeszcze na pokładzie okrętu, wszyscy troje wsiedli do jednej dorożki i udali się do „Hotelu czterech pór roku“, który mister Parker uważał za jeden z najlepszych w Hamburgu.

— Hm! wszystko to byłoby bardzo piękne i dobre — rzekł stary Springer, wchodząc do pokoju swojej córki, po zmienieniu toalety — ale przyznam ci się, że na samym wstępie spotkało mnie niemałe rozczarowanie. I pewnie, gdyby nie radość, że po dwudziestu sześciu latach stanąłem wreszcie na ziemi ojczystej, owładnąłby mnie smutek z tego powodu...

— Smutek?!... więc to naprawdę coś tak ważnego, mój ojcze?

— No, nic tak znowu ważnego! — rzekł Springer, całując córkę w czoło — ot, poprostu wmówiłem w ciebie, że mój brat, Franciszek, przybędzie na moje powitanie do Hamburga i przyjmie mnie sam w przystani. Dlatego też powiadomiłem go najdokładniej o dniu i godzinie naszego przybycia, dlatego wymieniłem mu i okręt, którym przyjedziemy. W porcie o mało co nie rzuciłem się w objęcia jakiemuś całkiem obcemu człowiekowi, ale, szczęściem, na czas jeszcze przypomniałem sobie, że przez te dwadzieścia sześć lat Franciszek, tak samo, jak ja, musiał się zmienić i postarzeć, że zatem nie może mieć ani takich kruczych włosów, jak ów nieznajomy, który mi go przypomniał na pierwszy rzut oka...

Helena spojrzała na staruszka z nietajoną ciekawością.

— Ale dlaczego to, mój ojcze, nigdy nic nie wspominałeś o tym stryju, którego mamy odwiedzić? — zapytała. — Doprawdy, że mu będzie bardzo przykro, gdy zaczniecie sobie obaj wspominać o swej młodości, a ja na jego pytanie, czy słyszałam coś o tem, powiem, że nie wiem o niczem!...

Springer z dziwnym jakimś uśmiechem utkwił swoje błyszczące oczy w twarzy dziewczęcia.

— O to możesz być całkiem spokojną, moje kochanie! — szepnął cichym głosem — *on* ci z pewnością ani słówkiem nie wspomni o naszej młodości! *on* nigdy! On ma ku temu ważne powody.

— Ach, rozumiem! zapewne żyliście i rozstaliście się na złej stopie! — rzekła ze smutkiem Helena — opowiedz mi coś o tem, mój ojcze.

— Nie, Heluś! nie! To wszystko już dawno pogrzebane w zapomnieniu, już nawet trawa niepamięci nad tem porosła. Pocóż więc krwawić serce i rozdzierać na nowo zagojone rany?! Postarzeliśmy się już obaj i bylibyśmy głupcami, gdybyśmy chcieli takiemi myślami zatruwać sobie resztki życia. Doprawdy! mimo całej tęsknoty do ojczyzny, pewniebym tu nie przybył, gdybym nie wiedział napewno, że Franciszek w tym kierunku jest tego samego zdania, co i ja. Sam pisał mi o tem jeszcze przed dwoma laty, gdy tylko wezwałem go, aby trzymał w pogotowiu moje skarby, które przeznaczyłem dla ciebie, moje dziecko.

— Skarby? to ty masz skarby u stryja, mój ojcze?

— O, jeszcze jakie! — uśmiechnął się wesoło staruszek — toż to dopiero ze zdziwienia otworzysz oczy, gdy się dowiesz, jaka jesteś bogata! Dalibóg! nie wiem, czy dużo będzie w tym kraju takich dobrych partyj, jak miss Helena Springer!...

— Ależ, ojcze! — szepnęło młode dziewczę z wyrzutem w głosie.

Rudolf Springer ujął jej twarzyczkę w obie dłonie i złożył na jej czole serdeczny, ojcowski pocałunek.

— Nie gniewaj się malutka — rzekł z wesołym uśmiechem — stary jestem, ale nie ślepy i zdaje mi się, że tam za oceanem, zostawiliśmy kogoś, do kogo rwie się nam serduszko! Co?...

Zanim Helena zdążyła odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi i w progu stanął kelner z zapytaniem, czy państwo nie chcą przed obiadem zwiedzić miasta, pod przewodnictwem mister Parkera. Springer wraz z córką chętnie zgodzili się na tę propozycyę i przez parę godzin w towarzystwie Anglika jeździli po starem mieście, w którem było do widzenia wiele ciekawych, nieznanych im wcale osobliwości. Parker, jak zawsze, tak i teraz, był bardzo milczący, ale jego krótkie, lakoniczne objaśnienia nie pozostawiały nic do życzenia i dowodziły, że Hamburg zna, jak swoją kieszeń i że nieraz dłuższy czas musiał przebywać w tem mieście. Interesy, jakie go tutaj sprowadziły, nie były widocznie tak pilne, skoro po obiedzie znowu był na usługi Springerów i nad wieczorem zaproponował im udać się do teatru. Springer, którego radość z powrotu do ojczyzny nie miała wprost granic, odrazu zgodził się na ten projekt i tylko Helena, którą wycieczki po mieście i długa podróż zmęczyły ogromnie, postanowiła zostać w hotelu i udać się zaraz na spoczynek.

Nie chciała jednak zezwolić na to, aby ojciec z jej przyczyny pozbawiał się rozrywki, do której miał widoczną ochotę. Staruszek nie dał się jej długo prosić i poszedł z Anglikiem do teatru.

Zaledwie jednak drzwi zamknęły się za oboma mężczyznami, Helenę ogarnęło jakieś złe przeczucie — którego nigdy przedtem nie doświadczała w swem życiu. Zrazu nawet chciała pobiedz za ojcem i prosić, aby jej nie opuszczał, ale niebawem sama zawstydziła się tej swojej bojaźliwości — której nie umiałaby wytłumaczyć staruszkowi.

Spokojnie więc zamknęła na klucz drzwi od pokoju, przeciągnęła się wygodnie na małym szezlongu, odpięła na piersiach sukienkę i wydobyła z tego uroczego schowku starannie złożony list, skreślony pewną, energiczną ręką mężczyzny. Drogim sercu dziewczęcia musiał być autor tego listu, Helena bowiem, przeczytawszy raz i drugi treść listu, przycisnęła go do ust i złożyła długi, gorący pocałunek, poczem, schowawszy go znów na piersiach, przeciągnęła się leniwie i przymknęła swe cudne oczęta. Zrazu czuła, że zmęczenie ogarnęło jej wszystkie członki, że sen skleja jej powieki — chwilę walczyła z nim, ale bezskutecznie. Morfeusz, jeden jedyny mężczyzna, o którego nikt nie może być zazdrosny — utulił ją w swem objęciu...

Głośne pukanie do drzwi zbudziło ją ze snu, który musiał trwać bardzo długo, bo świece dopalały się już w lichtarzach. Więcej przeczuwając coś złego, niż bojąc się sama o siebie, drżącym głosem spytała, kto to jest i odetchnęła z ulgą, usłyszawszy łamaną niemczyzną Parkera, który swoim flegmatycznym, obojętnym głosem odezwał się na korytarzu:

— Przepraszam panią, miss Springer, jeśli pani przeszkodziłem, ale byłem przekonany, że to jest pokój pani ojca...

Helena zerwała się z kanapki i otworzyła szybko drzwi. Przed nią stał mister Parker, w swym długim kraciastym płaszczu podróżnym, tak, jak wieczorem opuścił hotel z jej ojcem i skłonił się jej uprzejmie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# LINA BEZPIECZEŃSTWA.

### HUMORESKA.

2 (Ciąg dalszy).

— Czemuż nie na jego ramię! — pomyślał rozżalony Artur, monologując dalej w myśli: — prawdziwe przekleństwo boskie z tem spaniem! Na to wywiozłem ją z domu od chrapiącego męża, by mi właśnie w drodze zasnęła!

I pan Artur spojrzał z niemym wyrzutem na swoją towarzyszkę. Ale widok jej rozbroił go zupełnie.

— Uśmiecha się — wyszeptał — śni, kto wie, może o mnie!

Lecz wtem nagle zmieniły się rysy śpiącej. Jakiś wyraz przerażenia przebiegł przez jej twarzyczkę i pani Lucyna w strasznym jakimś półśnie zerwała się na równe nogi, krzyknęła przeraźliwie i odruchowo pociągnęła z całej siły za przyrząd, alarmujący pociąg.

— Lucyno! Lucyno! co robisz — zawołał młody człowiek, zrywając się, niestety zapóźno — nieszczęśliwa! co uczyniłaś?

— Co? co? — bąkała na pół przytomnie zbudzona ze snu. — Ach, to ty, Arturze? Wyobraź sobie, śniło mi się, że jestem w domu, śpię, wtem mąż mój się skrada i zaczyna mnie dusić za karę mego wiarołomstwa. Chwyciłam za dzwonek, by wezwać na pomoc służbę...

— Pociągnęłaś pani za linę bezpieczeństwa w pociągu!

— Nieba!

— Trzeba pani wiedzieć, że sytuacya nasza jest bardzo poważna. Za niepotrzebne alarmowanie płaci się wysoką karę pieniężną, a można i do kozy się dostać!

— Co? co pan mówisz! Nie strasz mnie!

I młoda kobieta zalała się łzami.

— Co to będzie! co to będzie! — biadała z nieudaną rozpaczą — policya, protokół i mój mąż dowie się o wszystkiem! Ach, on mnie zabije!

— Ach, prawda! jeszcze mąż do tego — krzyknął Artur — zapomniałem zupełnie o nim. Ale nie czas rozpaczać. Wymyślmy coś koniecznie na nasze usprawiedliwienie... Czy pani widzisz? już pociąg zwalnia!

Pani Lucyna krzyknęła:

— Mam! mam myśl! jesteśmy uratowani. Gdy przyjdzie konduktor, nic się pan nie odzywaj, potakuj tylko to, co ja mówię!...

II.

Tymczasem pociąg stanął i w drzwiach *coupée* ukazała się marsowa twarz konduktora, który z surową miną zawołał:

— Co się stało?

I wzrok jego padł na zapłakaną, chwiejącą się na nogach kobietę.

— Co się stało? — powtórzył już nieco uprzejmiej.

— Ach! ach! — jęczała pani Lucyna, upadając napowrót na poduszki wagonu.

I istotnie, w tej chwili nie udawała wzruszenia i pomimo całej swej piękności, wyglądała na litości godną istotę.

— Przyjdź pani do siebie i spiesz się! Pociąg nie może stać w polu!...

— Ach! czyż mogę, czy się ośmielę?...

Tu zakryła oczy chusteczką:

— Ten młody człowiek — rzekła, wskazując swego sąsiada — zachował się tak, ale to tak...

— Jak? jak? — łaskawa pani — indagował konduktor.

— Tak bezczelnie, tak bezczelnie wobec mnie, tak bezprzykładnie, że gdyby nie ta lina sygnałowa...

— Co? — krzyknął w najwyższem zdumieniu i oburzeniu pan Artur — to niesłychane! Co pani mówisz?

— Aha! — mruknął coś konduktor, zapisując co w notatniku.

— Ależ, ja protestuję! — zawołał młody człowiek.

I pomyślał:

— Ładną miała istotnie myśl, chcąc siebie ratować, narazić mnie na więzienie!

Konduktor pisał dalej.

— Ale nie pisz pan! — krzyczał spotwarzony — to nie jest prawda!

— Milcz pan! — nakazał surowo obrońca cnoty — naturalnie, pan wyprzesz się zawsze...

— Imię szanownej pani? — zapytał, zwracając się w stronę zapłakanej kobiety.

Pani Lucyna przeraziła się... Imię? na to nie była przygotowaną! Co? w tak skandalicznym procesie ma z imienia i nazwiska figurować? A mąż? co mąż powie na to?!

— Imię pani? — ponowił grzeczny konduktor pytanie.

W tej chwili zrozpaczonej kobietce przyszło na myśl nazwisko przyjaciółki. Podała je bez wahania konduktorowi.

— Adolfina Uderska.

Pani Adolfina była młodą wdową. Proces taki, w najgorszym nawet razie, nie skompromituje jej w takim stopniu, jakby skompromitował panią Lucynę. Za powrotem do Krakowa, całą rzecz wyjaśni przyjaciółce, przeprosi, ubłaga — i jakoś to będzie.

— Dobrze — rzekł stróż cnoty, zapisując nazwisko.

Potem zwrócił się do młodzieńca, skamieniałego ze zgrozy i przestrachu.

— Co zaś pana dotyczy — mówił złośliwy ten człowiek — nie pytam nawet o nazwisko. Bez pańskich wykrętów dowiem się o tem.

I w mgnieniu oka rzucił się na domniemanego zbrodniarza i przetrząsł mu kieszenie.

— Mniejsza o to — pomyślał Artur — i tak nie mam w kieszeni żadnego papieru, któryby mógł mnie zdradzić.

A jednak konduktor znalazł kartę wizytową, na szczęście kartę przyjaciela pana Artura, którą tenże na ulicy od niego otrzymał, z prośbą odwiedzenia go.

— Otóż jest — zawołał konduktor, z tryumfem potrząsając kartą — nazywasz się pan: Antoni Ścibora.

— Tak, tak! nazywam się Antoni Ścibora — bąknął indagowany, nie czyniąc sobie w tej chwili żadnych wyrzutów z nadużycia cudzego nazwiska.

— O, ja się nigdy nie mylę! — zapewnił uroczystym głosem konduktor.

Pociąg biegł teraz zdwojoną siłą pary do najbliższej stacyi, w której zbrodniarza miano powierzyć w niezawodne i pewne ręce policyi.

— Oto ładna wycieczka — myślał melancholijnie nastrojony młodzieniec — żałuję, że wdałem się w ten głupi romans. O, już drugi raz tego z pewnością nie uczynię!

— Zapóźna skrucha. Lokomotywa gwizdnęła. Pani Lucyna wstała — i dała oczami znak sąsiadowi.

Spojrzenie to miało oznaczać:

— Baczność!... Spróbuję jeszcze raz cię ratować!...

Młodzieniec zrozumiał.

— Byleby nie z takim skutkiem, jak przed chwilą — pomyślał słusznie uprzedzony względem forteli towarzyszki podróży.

Cóż wymyśliła pani Lucyna?

Oto gdy cała trójka wysiadła na peronie — pomysłowa niewiasta zachwiała się nagle i krzyknęła:

— Słabo mi! — a potem — eteru! prędko eteru! — i upadła zemdlona w objęcia konduktora, który zmieszany nową niespodzianką — oddał się z poświęceniem ratowaniu nieszczęśliwej kobiety...

Pan Artur zrozumiał manewr i — korzystając z unieruchomienia konduktora przez panią Lucynę, zrobił według wszelkich zasad i reguł tak zwaną „nogę“.

Gdy konduktor spostrzegł jego ucieczkę, był pan Artur już daleko. Przyprowadziwszy zatem do przytomności omdlałą i wprowadziwszy ją napowrót do wagonu, zaklął tylko, napił się w bufecie wódki i rzekł sobie w duchu:

— Mniejsza o to! Uciekaj! i tak cię znajdą ptaszku! Mam przecież twoje nazwisko i adres...

III.

Wróciwszy po tej romantycznej przygodzie do domu, nie miała oczywiście pani Lucyna nic spieszniejszego, jak udać się do swej przyjaciółki — młodej wdowy, pani Adolfiny Uderskiej, której, co prawda, od dłuższego już czasu nie widziała, a której nazwiska w tak kompromitujący sposób w znanej aferze użyła.

Nie znalazła jej atoli pod dotychczasowym adresem i ku wielkiemu swemu zdumieniu, dowiedziała się, że młoda wdowa wyszła powtórnie za mąż i mieszka razem z mężem. Gdzie? niewiadomo.

(Dokończenie nastąpi).

## Zagadki do nagrody.

### Rebus.




### Szarady.

I.

Ułożyła Marya Strońska.

*Pierwsze* i *trzecie* przed światłem ucieka,
*Drugie* lub *czwarte* w alfabecie czeka,
Ci, którzy *pierwsze-czwarte* konsumują,
Raz w rok się tylko niemi delektują.
*Trzecie* i *czwarte* pełne szumu, blasku,
Kończą byt krótki przy tłumów oklasku.
*Czwarta* i *trzecia* wspomnienia też warta,
Chociaż z początku zawsze jest podarta,
Lecz za to, gdy ma odmienne znaczenie,
Na licach niewiast w wielkiej bywa cenie.
Za *czwarte*, wysokie, wysoko też płacą.
Zdobyć je można śpiewającą pracą.
*Wspak drugie, czwarte, wprost drugie* i *trzecie*
Na końcu zdania nieraz odnajdziecie.
*Wszystkie*... (Przyznajcie się państwo łaskawi
Żeście ich przecie już trochę ciekawi)
Są do sprzedania u chrześcian, lub żyda,
Kto je kupuje — nie gniecie go bieda!

### Arytmogryf.

Poniżej umieszczone liczby zastąpić literami tak, aby środkowe litery wyrazów, czytane z góry na dół, dały imię i nazwisko kompozytora polskiego XIX wieku.

Kombinacye:

| | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | | 3 | 13 | 12 | | | |
| | | 1 | 9 | 3 | 20 | 19 | | |
| | 4 | 9 | 8 | 12 | 18 | 9 | 7 | |
| 21 | 18 | 8 | 2 | 10 | 8 | 3 | 6 | 16 |
| | 1 | 12 | 19 | 8 | 3 | 6 | 11 | |
| | | 13 | 14 | 13 | 10 | 8 | | |
| | | | 15 | 5 | 16 | | | |
| | | | 13 | 12 | 3 | | | |
| | | 17 | 3 | 15 | 5 | 3 | | |
| | 16 | 10 | 4 | 9 | 6 | 9 | 13 | |
| 11 | 18 | 12 | 18 | 6 | 11 | 9 | 5 | 7 |
| | 1 | 12 | 9 | 7 | 11 | 10 | 8 | |
| | | 7 | 5 | 13 | 6 | 10 | | |
| | | | 8 | 9 | 7 | | | |

*Znaczenie wyrazów.*

1. Miara kwadratowa angielska.
2. Przymiotnik.
3. Moneta portugalska.
4. Wyspa.
5. Kamień drogocenny.
6. Roślina z rodziny goździkowych.
7. Miara wagi.
8. Lód płynący.
9. Miasto we Włoszech.
10. Imię męskie.
11. Jeden z wodzów rzymskich.
12. Hotel w Warszawie.
13. Towar łokciowy.
14. Zwierzę.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

**„Humoreski z teki Worszyłły“**
Henryka Sienkiewicza.

## Rozwiązania z Nru 17.

**Rebus**: Sławni ludzie często wielkimi bywają oryginałami.

**Szarady**: Alleluja — Mazurki.

**Logogryf**: Marsz Chłopickiego — Polonez Kościuszki.

**Zagadka przysłowiowa**: Jaka woda taki młyn, jaki ojciec taki syn.

**Arytmogryf**: Kazimierz Tetmajer.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Antoni St. Bassara z Niwisk, J. Gocka Rożniatów, J. Biegoń Ślemień, H. Mokrzycka Turbia, Fr. F. Kraków, J. Haberman Mikulińce, M. Arbesbauer Lwów, L. Kaczkowski Witków, K. Fuchs Peczeniżyn, K. Chodkiewicz Zbydniów, T. Wasiewiczowa Baranów, J. Scheiger Brody, A. Lewicki Brody, M. Rożański Nowy Sącz, J. Jagiełowicz Kraków, J. Fiedler Rozwadów, N. Zellner Rozwadów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Jan Biegoń w Ślemieniu. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.